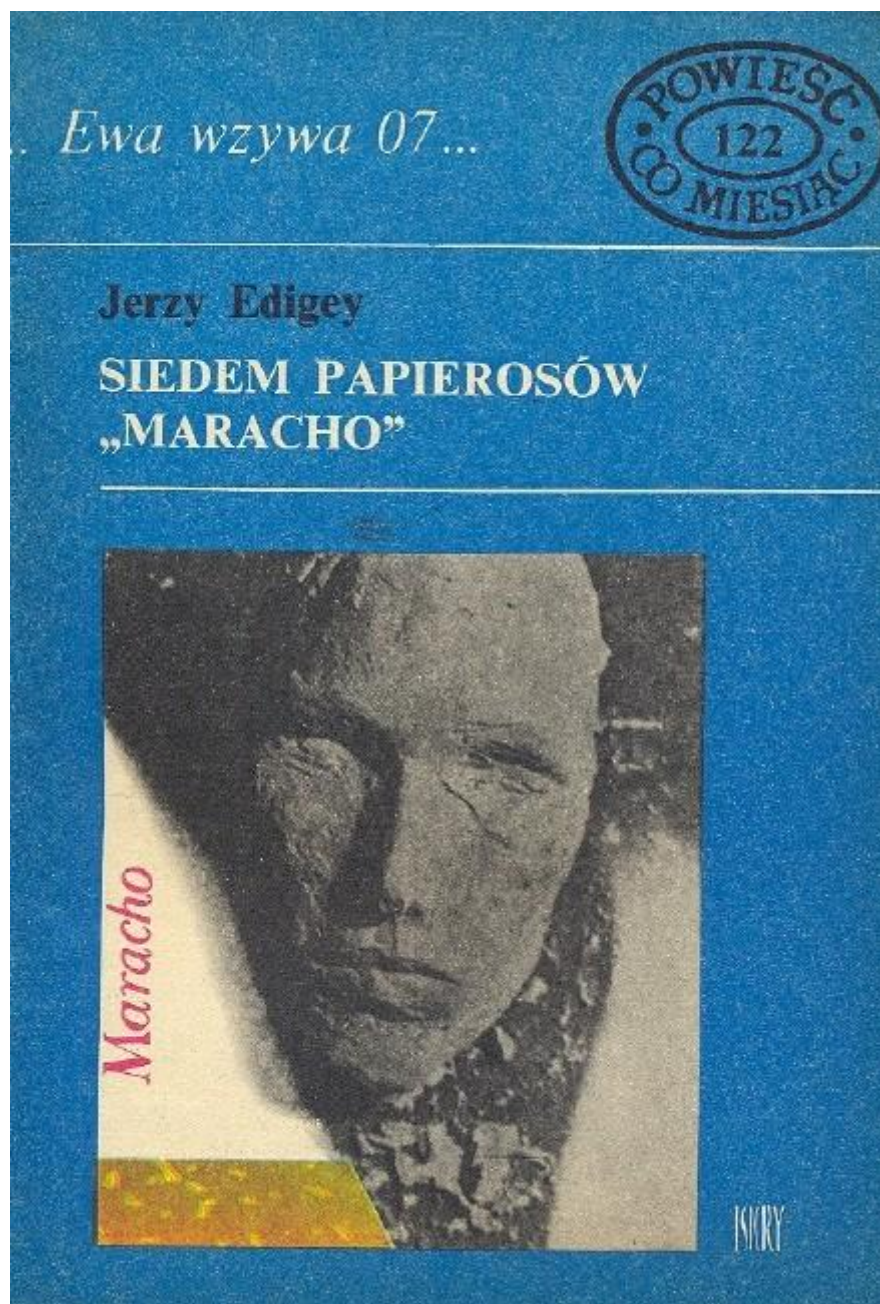


Ewa wzywa 07... Ewa .wzywa 07...

Jerzy Edigey SIEDEM PAPIEROSÓW „MARACHO”



POCIĄG: WARSZAWA— SZCZECIN

Oni pierwsi weszli do przedziału pierwszej klasy. Ona, przystojna blondynka. Naturalna czy farbowa? Wiek — gdzieś po czterdziestce, ale robiła wszystko, by wyglądać młodziej i chciała, aby wszyscy tak myśleli. Miał temu dopomóc dość ryzykowny makijaż i ubranie według stylu młodzieżowego pani Hoff. Liczne złote pierścionki, także bransoletka „pancerka” oraz nie mniej bogaty złoty zegarek miały wyraźnie wskazywać, że właścicielka tych błyskotek zalicza się do grona kobiet zamożnych. On, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, z twarzą pooraną bruzdami, dźwigu) dwie pakowne i ciężkie walizy. Sprawdził bilety Ł numerami nad siedzeniem.

— Dobrze, że mamy miejsca przy oknie — zauważył.

— Żebyś się lepiej postarał, mielibyśmy wagon sypialny.

— Wiesz, złotko, że już od trzech miesięcy wszystkie miejsca sypialne do Szczecina i do Międzyzdrojów na cały lipiec zostały wykupione. Cudem udało mi się zdobyć miejscówki w pierwszej klasie.

— A jednak Kobylińscy dostali sypialny.

— Dostali, bo kupili dużo wcześniej. Wtedy, kiedy ty jeszcze nie wiedziałaś, dokąd chcesz jechać, czy do Bułgarii, czy nad polskie morze. — Mąż z dużym wysiłkiem wpakował ciężkie bagaże na półkę. — Gdzie chcesz siedzieć?

— Dobrze wiesz, że nie znoszę jazdy tyłem do biegu pociągu. — Blondynka wyjęła z torby podróżnej kilka kolorowych tygodników, wśród nich magazyn mód „Burde” — Przynajmniej będę mogła oglądać widoki za oknem.

— Te fotele są bardzo wygodne. Można je wysunąć, tak że jedzie się prawie na leżąco. Nie jest źle, będzie się można przekimnąć. A wagon wyjątkowo nowy i świeżo sprzątnięty. Nawet śmietniczka i popielniczki czyste.

— To ty będziesz spał. Wiesz przecież, że ja w pociągu oka nie zmruję.

Drzwi do przedziału otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna: wysoki szatyn o przystojnej, wesołej twarzy, w rękę trzymał małą czarną teczkę walizeczkę, a przez ramię miał przewieszony płaszcz.

— Dzień dobry państwu — powiedział. — Mam miejscówkę sześćdziesiąt trzy. to lulaj. — I od razu umieści! walizeczkę na siedzeniu koło blondynki.

Kobiela wyraźnie się ożywiła na widok tak interesującego sąsiada. Zaraz otworzyła torebkę, wyjęła z niej puderniczkę i spojrzała w lusterko. Przeciągnęła puszką po nosku i zadowolona ze swojego wyglądu obdarzyła przybysza zachęcającym uśmiechem.

— Państwo także do Szczecina? — zapytał młody człowiek.

— Nie. Do Międzyzdrojów, ale mąż nie dostał biletów na pociąg sypialny i w ogóle nie dostał miejscówek do Międzyzdrojów. Musimy się przesiadać w Szczecinie— Dąbiu.

—Lepiej dojechać do Szczecina — radził przybyły — tam zjeść śniadanie i później Wodolotem pojechać do Świnoujścia. Bardzo przyjemna wycieczka. Niecałe dwie godziny A ze Świnoujścia zawsze złapie się taksówkę lub autobus do Międzyzdrojów. Zawsze tak jeżdżę.

— Pan również do Międzyzdrojów" — zapytał mąż pięknej blondynki.

— Niestety, nie. Będę miał urlop dopiero we wrześniu. Może pojedę do Turcji albo nu Rodos. Na razie służbowo do Szczecina.

— Widzisz—syknęła blondynka — namawiałam cię na wyjazd choćby do Bułgarii, ale ty jesteś patriotą i koniecznie nad polskie morze. Więc muszę się tłuc całą noc na siedząco bez zmruczenia oka.

— Ależ Zosieńko — tłumaczył się małżonek — przecież sama nie chciałaś jechać do Złotych Piasków ani do Eforii, bo tam jeździmy co roku, już chyba od dziesięciu lat.

— To świetnie, że pani nie może spać w wagonie. Ja to samo Będę miał czarującą towarzyszkę bezsenności — powiedział nowoprzybyły.

— Pan jest bardzo miły. — Znowu uśmiech zawitał na twarzy Zosieńki.

Tak przyjemnie rozpoczęta rozmowa została przerwana otwarciem drzwi. Tym razem do przedziału weszła starsza kobieta. Uważnie sprawdziła numer swojej miejscówki. Okazało się, że jej miejsce znajduje się przy drzwiach. Nowo przybyła usiłowała umieścić swoją walizkę na polce, ale młody człowiek szarmancko zerwał się i pomógł kobiecie.

— Bardzo dziękuję. To pociąg do Szczecina?— upewniła się pasażerka.

— Tak. Do Świnoujścia i do Szczecina. Nasz wagon jedzie do Szczecina.

— Czy to przedział dla palących?

— Tak jest — odpowiedział mąż pani Zosieńki

Młody człowiek odruchowo sięgnął do kieszeni.

— Psiakrew! — zaklął. — Zapomniałem papierosów .

— Proszę — pani Zosia wyjęła z torebki paczkę „Carmenów”.

— Dziękuję, ale palę tylko „Maracho”. Wszystkie inne papierosy zaraz tak mnie drapią w gardle, że dostaję chrypki.

— Ciekawe — zauważyła starsza pani — mnie tak samo nie służą „Ekstra mocne”. Ale mam „Caro”. Chętnie nimi służę.

— Może jeszcze zdążę kupić w bufecie? młody człowiek spojrzał na zegarek.

— Niech pan nie ryzykuje. Do odjazdu zostało zaledwie pięć minut — powiedziała kobieta.

Znowu otworzyły się drzwi. Teraz do przedziału weszło dwóch mężczyzn. Pierwszy — starszy, szpakowaty. Drugi — wysoki o bardzo jasnych włosach. Blondyn zajął miejsce obok męża pani Zosi. Szpakowaty mężczyzna ulokował się przy drzwiach, naprzeciwko starszej pani.

— A to się urządziłem — narzekał niefortunny palacz. — Wybrać się w drogę bez papierosów!

Dwaj panowie natychmiast ofiarowali się z pomocą, ale młody człowiek także im wyjaśnił, że pali wyłącznie papierosy „Maracho”.

— W sąsiednim wagonie jest bufet „Warsu” — informował blondyn. — Otworzą go, jak tylko pociąg ruszy. Nie ma zmartwienia. Zresztą na pewno będą roznosili kawę, herbatę, inne napoje i coś do jedzenia. Zwykle mają też i papierosy.

— Ale czy będą mieli „Maracho”?

— Nigdy nie paliłam tych papierosów — wtrąciła pani Zosia.

— To nowy gatunek. Ukazały się w sprzedaży dopiero niedawno — wyjaśnił młody człowiek. — Są wyrabiane na licencji greckich „Papastratos”. Trudno je dostać, bo cieszą się wielkim powodzeniem.

— Jak każda nowość — wtrącił szpakowaty pan. — Paliłem te „Maracho”, ale jakoś nie przypadły mi do gustu. Dobre papierosy, ale nic nadzwyczajnego. Ja tam wolę „Marlboro”.

— De gustibus... — mruknęła starsza pani. Pociąg ruszył prawie niepostrzeżenie. Wolno jechał w tunelu i w wykopie i mijając wiadukt na ulicy Towarowej, nabierał coraz większej szybkości. Na Dworcu Zachodnim w ogóle się nie zatrzymał. Pasażerowie obserwowali przez okno przesuające się obrazki Warszawy. Tylko pani Zosia demonstracyjnie otworzyła „Burdę” i zaczęła oglądać reklamowane tam modele sukienek.

— Trzeba się wybrać po te papierosy — zdecydował młody człowiek podnosząc się ze swojego miejsca. Ale zaraz usiadł z powrotem, bo drzwi otworzyły się i stanęła w nich konduktorka w zgrabnym granatowym kostiumie i trochę śmiesznej furażerce.

— Proszę bilety do kontroli.

— Czy w pociągu jest bufet? — Amator papierosów „Maracho” najwidoczniej nie dowierzał informacjom współpodróżnego

— Tak. Dwa wagony dalej — odpowiedziała konduktorka — ale w drugiej klasie jest spory tłok. Ludzie stoją na korytarzu.

— Pani idzie w tamtą stronę?

— Tak.

— Może byłaby pani tak dobra i poprosiła, aby ten ktoś, kto będzie roznosił kawę, przyniósł mi paczkę papierosów „Maracho”.

— „Maracho”? — powtórzyła konduktorkami. — Nigdy nie słyszałam o takich papierosach.

— Jeżeli uda mi się kupić, poczęstuję panią.

— Dziękuję. Nie palę, ale powiem, żeby panu je przynieśli.

— O której będziemy w Szczecinie? — zapytała starsza pani.

— Według rozkładu o szóstej trzydzieści pięć — wyjaśniła konduktorka.

— A tak naprawdę? — upewniał się szpakowaty?

— Jak Bóg da. Myślę, że jednak dojedziemy koło siódmej — odpowiedziała konduktorka i po sprawdzeniu biletów delikatnie zamknęła za sobą drzwi

W przedziale zapanowała cisza. Pani Zosia nadal studiowała „Burdę”. Jej mąż bez specjalnego zainteresowania spoglądał w okno. Amator „Maracho” poszedł za jego przykładem. Szpakowaty pan zabrał się do czytania warszawskich popołudniówek. blondyn wyjął z teczki zawiniętą w serwetkę bułkę z wędliną, starsza pani zaś pograżyła się w lekturze jakiejś angielskiej książki

— Kawa, herbata! — Kelner w białym kitlu zręcznie żonglował tacą ze szklankami.

Przedział natychmiast się ożywił. Pani Zosia odłożyła „Burdę”, a starsza pani przestała czytać książkę.

— Dla mnie kawa — poprosiła blondynka.

— Nie pij kawy. Kochanie, o tak późnej porze — prosił ją mąż.

— Przecież i tak nie będę spała.

— Ja także poproszę o kawę — zdecydował się szpakowaty mężczyzna.

— A ja o herbatę. Ma pan papierosy „Maracho”?

— Papierosów nie sprzedaję — wyjaśnił kelner — ale koleżanka, która roznosi piwo, będzie je miała. Za chwilę powinna się tu zjawić.

— Ja także poproszę o herbatę — powiedziała starsza pani.

Kelner każdemu podał zamówiony napój, zainkasował należność i ruszył w dalszą drogę.

— Ty, Rysiu, nic nie pijesz? — pani Zosia zainteresowała się mężem.

— Wezmę piwo, jak przyniosą. Przystojna blondynka z niesmakiem skrzywiła usta.

— Najchętniej byś się napił wódki.

— Pewnie, że strzeliłbym sobie setkę. Albo ze dwa koniaczki.

— Pan często jeździ do Szczecina? — zapytała swego sąsiada pani Zosia, chcąc zmienić temat.

— Raz, czasem dwa razy w miesiącu. Współpracujemy z pewną szczecińską firmą.

— W samym Szczecinie nigdy nie byłam. Jedyne przejeżdżałam w drodze do Świnoujścia lub Międzyzdrojów.

— Powinniście państwo skorzystać z okazji i zwiedzić to miasto. Bardzo ładnie się prezentuje po odbudowie i ludzie są tam mili. Szczerze radzę. Chętnie państwa oprowadzę. Znam Szczecin jak własną kieszeń.

Pani Zosia najwyraźniej nic nie miała przeciwko tak przystojnemu przewodnikowi, ale mąż szybko zaprotestował.

— Może wracając zatrzymamy się w tym mieście. Najpierw trzeba trochę wypocząć i nabrać sił po całorocznej orce.

— Żeby tylko pogoda dopisała — martwiła się starsza pani.

GDY ZAPADŁA NOC

— Jakoś ta roznosicielka piwa i papierosów nie zjawia się — młody człowiek był wyraźnie zdenerwowany..

Szpakowaty pan znowu usiłował go poczęstować swoimi „Marlboro”, ale spotkał się z odmową.

— Poczekam jeszcze trochę, a jeśli nie, spróbuję jednak dotrzeć do bufetu „Warsu” Jeżeli kelner z tacą pełną szklanek przeszedł, to i mnie się to powinno udać.

— Pójdę z panem — ofiarował się wysoki blondyn. — Zostały mi tylko dwa papierosy. A przy okazji napiję się piwa.

Ale wyprawa okazała się niepotrzebna, bo tak długo oczekiwana roznosicielka napojów w tym momencie zjawiała się w przedziale.

— Piwo, oranżada, herbatniki, bułki z serem, papierosy — reklamowała zawartość swojego kosza.

— Dla mnie piwo — poprosił pan Ryszard.

— Dla mnie też.

— Ma pani „Maracho”? — zapytał młody człowiek.

— Tak, proszę.

— Ja poproszę o „Caro”

— „Caro” nie mam. Są tylko „Carmeny”

— Niech będą „Carmeny”

— No nareszcie ma pan swoje „Maracho” — roześmiała się pani Zosia, kiedy już za sprzedawczynią zamknęły się drzwi przedziału. — A tak się pan denerwował.

— Kiedy ja naprawdę tylko te papierosy mogę palić — usprawiedliwia! się młody człowiek.

— A zanim ukazały się w sprzedaży? — spytał szpakowaty pan.

— To paliłem „Spony” i stale miałem chrypkę. Obaj siedzący obok siebie panowie ze smakiem popijali piwo prosto z butelki, bo sprzedawczyni nie miała szklanek, ani kubków jednorazowego użytku. Reszta podróżnych kończyła swoją kawę lub herbatę. Za chwilę zjawił się kelner i zabrał puste naczynia.

Sąsiad pani Zosi rozerwał opakowanie i uprzejmie częstował współpasażerów.

— Proszę, niech państwo spróbują. To naprawdę świetne papierosy. I najzdrowsze, ze wszystkich, jakie są w sprzedaży.

— Już tam żaden papieros nie może być zdrowy — zaproponowała starsza pani. ale nie odmówiła i wzięta z paczki jednego „Maracho”. — Wszystkie są rakotwórcze.

— A jednak jeszcze, nie umarliśmy i raka chyba nie mamy — roześmiał się szpakowaty pan. — Ja palę od przeszło czterdziestu lat. Bywało, że po dwie paczki dziennie, a niejednego młodego przeskoczę.

Pan Ryszard wyjął z kieszeni elegancką zapalniczkę gazową i najpierw podał ogień żonie, później starszej pani siedzącej przy wejściu, a następnie już kolejno mężczyznom. Sam zapalił swojego „Maracho” na końcu.

— Bardzo przyjemne papierosy — zauważyła pani Zosia. — Mają taki jakiś dziwny, ale dobry smak. Rysiu, pamiętaj, żebyś od jutra kupował mi tylko te.

— Dobrze, złotko.

— Już raz paliłem te papierosy — zauważył szpakowaty pan — ale wtedy chyba miały inny smak. Teraz stwierdzam, że są lepsze.

Również starsza pani pochwaliła „Maracho”. Później rozmowa potoczyła się na najbardziej obchodzący wszystkich temat — jaka będzie pogoda nad morzem. Optymiści, a do nich należał pan Ryszard oraz starsza pani, uważali, że ponieważ dotychczas lało prawie bez przerwy, więc już się zapewne wypadało. Pozostali podróżni raczej obawiali się, że pogoda ustaliła się na czas dłuższy. Tylko właściciel papierosów „Maracho” stwierdził, że pogoda go zbytnio nie obchodzi. Nie jedzie przecież nad morze, ale służbowo do Szczecina i największą jego troską jest pomyślnie załatwienie ważnych spraw.

Tymczasem pociąg minął Kutno. Za oknami zrobiło się zupełnie ciemno.

— Dawniej — z pewną melancholią w głosie zauważyła — starsza pani — kiedy jeszcze kursowały lokomotywy parowe, opalane węglem, widać było złote iskry za oknem, dziś tylko czarna przestrzeń..

— Ale za to bez sadzy na ubraniu — roześmiał się pan Ryszard.

Pani Zosia nie brała udziału w rozmowie. Ona pierwsza wypaliła papierosa i znowu wróciła do oglądania mody w „Burdzie”. Ale i to ją szybko znudziło, bo odłożyła kolorowe pismo i opierając głowę o zagłówek, przymknęła oczy.

— Moja kochana żona — roześmiał się pan Ryszard — tak się zastrzegła, że oka nie zmruży przez całą drogę, a pierwsza z nas zasnęła.

— Przyznaję — zauważył amator papierosów „Maracho” — Że i mnie się oczy kleją. Za przykładem sąsiadki także uderzę w kimono. Dobrze byłoby przed przyjazdem do Szczecina przedrzemać choć parę godzin. Czeka mnie tam niezła harówka.

To mówiąc młody człowiek, usadowił się możliwie najwygodniej i zakrył sobie twarz płaszczem.

— Chyba wszyscy jesteśmy trochę senni — zgodziła się starsza pani. — Ja także bez przykrości myślę o małej drzemce. A na ogół w pociągu źle sypiam. Może zgasimy światło?

— Wobec tego — powiedział szpakowaty pan, siedzący również przy drzwiach — gasimy światło i śpimy.

Wstał i przekreślił kontakt. Jasne światło zgasło, a zapaliła się mała niebieska lampka. Jej blask nie raził w oczy, a przeciwnie, raczej usypiał podróżnych.

— Niech pan także zamknie drzwi na zasuwkę — poprosił pan Ryszard, który wysunawszy swój fotel tak daleko do przodu, jak to się tylko dało teraz szukał odpowiedniej pozycji dla swojego ciała.

Jeszcze kilka minut i w przedziale pierwszej klasy pociągu relacji Warszawa—Szczecin wszyscy spali. A ekspres pędził przez ciemną— noc. Mijał małe stacyjki, zatrzymywał się na kilka minut na tych większych, by znowu ruszyć w drogę.

Podróżni spali tak smacznie, że nawet w Poznaniu nie obudziły ich megafony dworcowe ani ruch na korytarzach. Niektórzy pasażerowie tutaj kończyli swoją podróż, inni poszukiwali wolnych miejsc w przedziałach. Gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, konduktorka znowu sprawdzała bilety nowo przybyłych. Usiłowała także otworzyć drzwi tego przedziału. Ale drzwi były zamknięte, więc dziewczyna wzięła swój uniwersalny klucz i otworzyła je... Tam nikł nie przybył. A wszyscy podróżni pogrążeni byli we śnie. Żaden nawet nie drgnął. Więc konduktorka po cichu zamknęła drzwi i poszła dalej.

Tymczasem pociąg zatrzymał się na dwie minuty w Krzyżu. Tutaj zwolnił się cały jeden przedział pierwszej klasy. Wysiadło sześciu panów z teczkami w rekach, na pewno jakaś delegacja udająca się na kursokonferencję. Do Szczecina pozostało jeszcze trzy godziny jazdy, naturalnie pod warunkiem, że pociąg tym razem wyjątkowo przybędzie o czasie. Konduktorka weszła do opróżnionego przedziału i sprawdziła, czy który z podróżnych nie zapomniał swoich rzeczy. A także zamknęła szeroko otwarte okno. Było już zupełnie widno i zapowiadał się ładny słoneczny dzień. Poza tą szóstką w Krzyżu z pociągu nikt nie wysiadł. Nikt też i nie przybył.

Idąc korytarzem konduktorka ze służbowego nawyku zaglądała przez szyby do przedziałów. Przeważnie jednak firanki były szczelnie zaciągnięte, znak że podróżni jeszcze spali. Ale w jednym z przedziałów firanka była nieco uchylona. Sześcioro podróżnych pólleżało w dziwnie nienaturalnych pozach. Zastanowiło to ją. Dziewczyna jeszcze raz otworzyła drzwi i delikatnie położyła dłoń na ramieniu najbliższego siedzącego mężczyzny. Nie obudził się. Konduktorka mocniej potrząsnęła męskim ramieniem. Starszy pan bezwładnie osunął się na siedzącego tuż obok młodego blondyna, który także nie obudził się.

Dziewczyna na moment aż zamarła z przerażenia. Chciała wybiec z przedziału i krzyknąć „Ratunku”, wzywać pomocy. Jednak zdołała się jakoś opanować. Alarm i budzenie ludzi w sąsiednich przedziałach nie miały żadnego sensu. Trzeba było postąpić inaczej. Ale jak?

Dziewczyna zamknęła przedział na klucz. Najlepiej byłoby poszukać lekarza. Tylko jak go znaleźć. Tak, to będzie najpewniejsze. Konduktorka pamiętała, że w sąsiednim wagonie, w jednym z przedziałów widziała młodego oficera w milicyjnym mundurze. Jego zaalarmuje.

PRZYKRE PRZEBUDZENIE

— Panie poruczniku dziewczyna energicznie potrząsnęła śpiącym.

Obudził się natychmiast.

— Co się stało? — zapytał.

— W sąsiednim wagonie, w jednym z przedziałów znajduje się sześcioro podróżnych. Dwie kobiety i czterech mężczyzn. Są nieprzytomni. Nie wiem, co robić...

— Już idę — oficer zerwał się ze swojego miejsca. Zabrał ze sobą milicyjny mapnik, którego zresztą nie zdjął z mundurowej kurtki. — Czy pani jeszcze kogoś zaalarmowała?

— Tylko pana porucznika — tłumaczyła dziewczyna najlepszy byłby lekarz, ale nie wiem, jak go znaleźć.

— Zobaczmy, jak to wygląda. Nie jestem wprawdzie lekarzem, ale uczono nas udzielania pierwszej pomocy.

— Mam w przedziale służbowym małą apteczkę. Może przynieść?

— Najpierw obejrzymy tych śpiących. Konduktorka otworzyła drzwi przedziału. Dla młodego oficera milicji także nic ulegało wątpliwości, że ci ludzie są pogrążeni w jakimś dziwnym śnie. Podporucznik podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Pęd zimnego powietrza od razu ocucił siedzącą przy oknie blondynkę. Zdziwionym spojrzeniem obrzuciła milicjanta i cały przedział. Najwidoczniej w pierwszej chwili nic orientowała się, gdzie jest. Ale za chwilę oprzytomniała.

— Rysiek — zwróciła się do leżącego naprzeciwko niej mężczyzny — Rysiek, co ci jest? Obudź się — i zaczęła nim potrząsać.

Pan Ryszard najpierw coś niezrozumiałego wymruczał, wreszcie obudził się.

— Cholernie mnie głowa rozboleła — powiedział.

Teraz oficer milicji widząc, że sytuacja w przedziale nie jest zbyt tragiczna, bez ceremonii przystąpił do budzenia pozostałej czwórki. Blondyn i siedząca przy drzwiach starsza pani obudzili się bez większego trudu. Natomiast młody człowiek, zajmujący miejsce między dwiema niewiastami, i szpakowaty mężczyzna przy drzwiach spali bardzo mocno. Nie pomagało potrząsanie za ramię. Podporucznik musiał kilkakrotnie lekko uderzyć po policzkach, zanim wreszcie ich ocucił. Oni także skarżyli się na ból głowy.

— Może pani przejdzie do przedziału „Warsu” — oficer poprosił konduktorkę niech tu zaraz przyniosą dzbanek mocnej kawy.

— „Wars” o tej porze jest zamknięty. Jeżeli otwierają, to dopiero na godzinę przed przyjazdem do Szczecina. I to nic zawsze. Rano nie ma ruchu.

— To pani ich obudzi i każe zrobić kawy. Tylko szybko.

— Już idę.

Podróżni nie spali, ale byli ciągle na wpół przytomni. Niektórzy skarżyli się na ból głowy, inni narzekali, że mają usta jak z drewna. Wszystkim chciało się pić.

Na szczęście zamówiona kawa zjawiała się prawie natychmiast. Przyniósł ją sam kierownik bufetu. Była naprawdę mocna.

— Co tu się stało? — wypytywał.

— Po prostu tym państwu zrobiło się niedobrze — wytłumaczył oficer milicji. — Czymś się zatruli.

— Na pewno nie naszym jedzeniem — oburzył się kierownik. — Kto zapłaci za kawę?

— O tym porozmawiamy później. Na razie dziękuję panu.

Podróżni łapczywie pili gorący płyn. Powoli przychodzili do siebie.

— To dziwne — zauważyła pani Zosia — nigdy nie śpię w czasie jazdy pociągiem. A tym razem zapadłam w taki straszny, ciężki sen. Chciałam, ale nie mogłam się obudzić. Czy w dzbanku zostało jeszcze trochę kawy?

— Bardzo proszę — podporucznik nalał drugą filiżankę.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał szpakowaty pan.

— Minęliśmy Krzyż — wyjaśniła konduktorka stojąca w drzwiach przedziału. — Za trzy godziny będziemy w Szczecinie.

— Jestem taka zmęczona — tłumaczyła starsza pani — jak gdybym do tego Krzyża szła piechotą z Warszawy.

— Ja także czuję się podle — stwierdził pan Ryszard. — Wprawdzie głowa mnie mniej boli, ale jestem taki jakiś wypluły.

— To za chwilę przejdzie — pocieszał oficer milicji — kawa zacznie, działać. Ale co tu się stało?

— Nie wiem — odpowiedział młody człowiek siedzący pomiędzy kobietami. — Tak nagle ogarnęła mnie senność i dopiero pan porucznik nas obudził. Nigdy tak mocno nie sypiam.

Pierwsza zdenerwowała się pani Zosia. Chciała sprawdzić, która godzina i na ręku nie znalazła zegarka.

— Gdzie jest mój złoty zegarek? Co się stało z bransoletką?

Zapadło chwilowe milczenie. Sąsiad przystojnej blondynki sięgnął do kieszeni. Wyjął portfel i zajrzał do środka. Był pusty. Może niezupełnie pusty, bo były tam jakieś papiery i dokumenty, lecz pieniędzy w nim nie było. Ani jednego banknotu.

— Okradli mnie — zawołał młody człowiek. — Miałem w portfelu przeszło osiem tysięcy złotych. A może nawet więcej. Cholera! — dodał ze złością i rozpaczą. — Nawet pięciuset złotych nie zostawili, że bym miał za co zjeść śniadanie i żeby starczyło na bilet powrotny.

Pan Ryszard słysząc te słowa także sięgnął do kieszeni. Ale i w jego portfelu nie było pieniędzy. Zniknęło, jak to skonstatował, bez śladu przeszło, dwadzieścia tysięcy złotych. Cały kapitałik przeznaczony na uprzyjemnienie pobytu w Międzyzdrojach.

Teraz już każdy sprawdzał zawartość kieszeni i torebek. Pani Zofii poza bransoletką i złotym zegarkiem zginęło z torebki coś ponad trzy tysiące złotych. Starszej kobiecie — pięć tysięcy złotych. Szpakowemu panu ukradziono dwanaście tysięcy, jasnowłosy młody człowiek stwierdził zaś, że z jego portfela zginęło cztery tysiące.

Zarówno dla oficera milicji, jak i dla całej szóstki stało się jasne, że uspio ich i następnie okradziono doszczętnie.

Szczerze mówiąc, młody oficer milicji był nie mniej przestraszony, niż poszkodowani podróżni. Zaledwie przed sześcioma tygodniami klęczał przed ministrem spraw wewnętrznych, który uderzając go po ramieniu szablą wypowiedział sakramentalne słowa „W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mianuję was podporucznikiem Milicji Obywatelskiej”.

Pierwszy służbowy przydział to komisariat kolejowy MO w Szczecinie na Dworcu Głównym. Praca niezbyt skomplikowana i trudna. Codziennie jakieś małe rozróbki chuliganów. Zamykanie czy odwożenie pijaczków do Izby Wyrzeźwień. Czasem jakaś interwencja. Pilnowanie porządku w zabudowaniach dworca i na peronach. Te czynności spełniali niżsi rangą funkcjonariusze MO. Podporucznik pisał raporty i sprawozdania, opracowywał dane statystyczne. Jeżeli nawet zdarzyło się coś poważniejszego, sprawę prowadzili koledzy z wyższym stopniem i większym doświadczeniem.

A teraz młody oficer milicji był sam. A naprzeciwko miał szóstkę okradzionych i rozgoryczonych ludzi. Ani obowiązek moralny, ani okoliczności zajścia nie pozwalały mu się wycofać i zasłonić „kolegą”, który w Szczecinie przejmie dochodzenie. Przecież i tak wszystkie wstępne kroki tego dochodzenia będzie musiał przeprowadzić kolejowy komisariat MO. Ten, w którym podporucznik właśnie pracuje. Że leż z jego wysiano z tymi dokumentami do Warszawy. A teraz musi działać sam jeden, bez żadnej pomocy czy dobrej rady — ludzi mądrzejszych od siebie.

Z drugiej jednak strony podporucznika nawet cieszyło, że przypadkowo znalazł się na miejscu przestępstwa. To przecież jest duża szansa wykazania się. Na taką sprawę i taki zbieg okoliczności można nieraz nadaremnie czekać całe życie.

POROZMAWIAJMY

— Proszę państwa — oficer MO przerwał ponure milczenie panujące w przedziale — bardzo wam współczuję, ale przede wszystkim musimy się razem wziąć do pracy. Może nam się uda wspólnie wykryć przestępcę i odzyskać wasze skradzione pieniądze i kosztowności.

— Trele— morele — mruknął jasny blondyn. — Moją siostrę okradli trzy lala temu i także w ten sposób ją pocieszali. Niczego nie wykryli. A zabrano jej z domu prawie wszystko.

— Nazywam się — oficer udał, że nic słyszy uwagi blondyna — Marian Balerski, podporucznik Jestem z kolejowego komisariatu MO w Szczecinie. I tak wstępne dochodzenie prowadziłby nasz komisariat.

Do Szczecina mamy jeszcze prawie trzy godziny. Porozmawiajmy więc teraz. Potem i tak będziecie państwo musieli przejść do naszego komisariatu, żeby złożyć formalne zeznania.

— Dlaczego nie? — stwierdził blondyn — rozmawiać można, ale myślę, że dużo z tego nie wyjdzie.

— Daj pan nam spokój — zaprotestował szpakowaty pan. Głowa mi puchnie, jak gdyby tam pracowały młoty pneumatyczne, a pan nas jeszcze chce męczyć. Co się stało, to się nie odstanie.

— A mówiłam. Rysiu, żebyś kupił bilety w wagonie sypialnym. — Pani Zofia znowu powróciła do starego tematu. — Nie straciłabym biżuterii, a ty pieniędzy. Będziesz mi musiał tę bransoletkę i zegarek odkupić. To twoja wina.

— Dobrze. Zosieńko. Odkupię. Ale pan porucznik jest z nami i na pewno złapie tych złodziei.

— Postaram się — Marian Balerski był wdzięczny za niespodziewaną pomoc. — Prosiłbym żeby pan usiadł koło żony. Państwo się trochę; ścieśnijcie. A ja zajmę pana miejsce.

Po tym małym przegrupowaniu podporucznik, wyjął z kieszeni gruby notatnik i długopis.

— Pozwolicie państwo, że zanotuję wasze nazwiska i sporządzą protokół strat. Pan?

— Ryszard Kolanko. Jestem rzemieślnikiem, właścicielem wytwórni mas plastycznych. Jadę z żoną do Międzyzdrojów. Przypominam sobie, że miałem w portfelu dwadzieścia pięć tysięcy złotych.

— Nielicho — skwitował jasny blondyn — przepadł niezły ubaw.

— A pani?

— Zofia Kolanko. Przy mężu. jak to się powiada. W torebce miałam coś ponad trzy tysiące złotych. Bransoletka i zegarek na dzisiejsze: ceny warte co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy.

— Nie trzeba się było popisywać swoim bogactwem — mruknęła starsza pani — toby panią, nie okradli. Pani sama sprowokowała złodzieja, a my za to jeszcze płacimy.

— Nie prosiłam panią o radę. Podporucznik zapisał te dane. Kolejny pasażer. siedzący koło pani Zofii, młody człowiek, odpowiedział, że nazywa się Jan Ceglewicz, jest zaopatrzeniowcem, który służbowo jedzie do Szczecina. Miał w portfelu osiem tysięcy służbowych pieniędzy i około tysiąca swoich własnych. Teraz pozostała tylko garstka bilonu. Starsza pani wyjaśniła, że jest emerytką, nazywa się Jadwiga Mariańska. Także jedzie na wczasy do Świnoujścia. Miała w torebce pięć tysięcy złotych.

Blondyn wymienił krótko:

— Jestem Zygmunt Chodysz. Miałem cztery tysiące złotych.

— A pański zawód?

— Może pan pisać ślusarz.

— Mogę pisać, czy pan jest ślusarzem?

— Coś pan? Pierwszy raz takiego widzę, który nie zna się na piłce nożnej. Małoletni szczeniak panu powie, kto jest Zygmunt Chodysz. Lewy napastnik „Gwiazdy”.

— Ale sława — skomentował szpakowaty. — Nic przypuszczałem, że nas taki zaszczyt spotka.

— A pan?

— Jestem prezesem spółdzielni. Edward Strzelczyk. Miałem w portfelu dwanaście tysięcy złotych. I niech pan da mi wreszcie spokój.

— Na to niech pan nie liczy. Milicja musi spełniać swoje obowiązki.

— To łapcie złodzieja, a nie męczcie niewinnych ludzi.

— Nie ulega wątpliwości, że zostaliście wszyscy uspieni jakimś narkotykiem. Najprawdopodobniej został on podany w płynie. Go piliście?

— Ja kawę — oświadczyła pani Zosia.

— Ja także — mrukną! Strzelczyk.

— A ja herbat? — dodał Ceglewicz — razem z panią Mariańską.

— Myśmy pili piwo — stwierdził Ryszard Kolanko — ja i pan Chodysz. Bardzo podłe, ciepłe piwo.

— A gdzie są filiżanki i szklanki po tych napojach?

— Kelner zabrał. Zaraz jak tylko wypiliśmy.

— Butelek nie zabierał — poprawił piłkarz — piwo przyniosła roznosicielka.

— Więc gdzie te butelki?

— Stały na stoliku — wyjaśnił pan Ryszard — ale kiedy już zasypiałem, to mi przeszkadzały i postawiłem je na podłodze.

— Nie ma ich tutaj — stwierdził podporucznik.

— Może się potoczyły pod siedzenie? Oficer milicji sprawdził, ale butelek w przedziale nigdzie nie było.

— To nie ma znaczenia — Edward Strzelczyk stale znajdował się w opozycji do przedstawiciela MO. — Nikt nie mógł zatruć kawy i herbaty roznoszonej przez kelnera i nalewanej z dwóch wielkich dzbanków, a także piwa w zakapslowanych butelkach przyniesionych przez zupełnie inną osobę.

— Ma pan rację — zgodził się Balcrski — trucizna musiała być podana w czymś, co wy wszyscy spożywaliście.

— Niczego nie jedliśmy i nie piliśmy prócz tej kawy, herbaty i piwa — wyjaśniła Jadwiga Mariańska.

— Przepraszam — wtrąciła Zofia Kolanko — pani jadła jakąś kanapkę. To dobrze pamiętam.

— Ale ani pani, ani nikogo z państwa nie częstowałam.

— Wszyscy paliliśmy papierosy — przypomniał sobie Zygmunt Chodysz. —: Papierosy „Maracho”, którymi nas częstował pan Ceglewicz.

— Ja was zatrąłem i okradłem — zdenerwował się młody człowiek. — Przecież widzieliście, że te papierosy kupiłem u roznosicielki piwa.

— Wszyscy państwo palą?

— Ja bardzo mało — wyjaśniła Jadwiga Mariańska — najwyżej trzy, cztery papierosy dziennie.

— Ja także nie więcej — dodała pani Zofia.

— Ale tutaj panie paliły?

— Tak! Te „Maracho” to nowy gatunek. Nigdy ich nie paliłam, więc kiedy ten pan mnie poczęstował, wzięłam. Ale nie wypaliłam więcej niż połówkę.

— A pani? — podporucznik zwrócił się do Zofii Kolanko.

— Ja także paliłam. Wszyscy paliliśmy te „Maracho”.

— Pan powiada, że kupił je u bufetowej?

— Tak. Palę tylko te papierosy, bo są chyba najzdrowsze. Od innych. dostaję chrypki. Zapomniałem kupić aa mieście, ale na szczęście roznosicielka miała chyba ze dwa kartony. Kupiłem więc od niej. Wprawdzie wzięła o pięć czy nawet dziesięć złotych drożej, ale i tak byłem zadowolony, że udało mi się je dostać. Nawet w Warszawie nie w każdym kiosku bywają.

— Przydziały dostają wszystkie kioski — roześmiał się prezes spółdzielni — ale sprzedają spod lady, bo wtedy mogą podbić cenę.

— Biorą przykład z niektórych spółdzielni — zauważył Ryszard Kolanko. — Ja także za odpady plastyku muszę nieraz przepłacać.

— Nie w mojej spółdzielni — oburzył się prezes,

— Wszyscy jesteście dobrzy — mruknął Kolanko. — Jak się nie da na lewo, nic się nie załatwi.

— Wypraszam sobie — zaprotestował prezes.

— Proszę państwa — łagodził podporucznik. — Rozumiem, że jesteście podenerwowani i nie czujecie się zbyt dobrze. Ale to nie powód, żeby się stałe sprzeczać. W ten sposób nie dojdziemy do niczego. Jak więc było z tymi papierosami?

— Już mówiłem — odezwał się Ceglewicz. Kupiłem paczkę od roznosicielki. Rozpieczętowałem ją i wszystkich częstowałem.

— Ma pan te papierosy?

Młody człowiek sięgnął do kieszeni, jednej, drugiej, szukał nawet w płaszczu.

— To dziwne — powiedział — papierosy znikły.

— Pan ich nie chował do kieszeni — podpowiedział Zygmunt Chodysz — tylko położył na stoliku.

— Może ktoś z państwa przez omyłkę schował tę paczkę?

— Przecież nie będę wsadzał do kieszeni cudzych papierosów — zdziwił się Ryszard Kolanko, jednakże przeszukał swoje kieszenie. Reszta poszła za jego przykładem.

— Pani Kolankowa — zauważyła Mariańska — bawiła się tą paczką. Może ma ją w swojej torebce?

— Ale pani ma pomysły!

— Może pani zaprzeczy, że miała tę paczkę w ręku?

— Oglądałam ją — Zofia była oburzona — ponieważ nigdy nie widziałam „Maracho”. Ale to było jeszcze przed tym, nim pan Ceglewicz rozpieczętował paczkę i nas częstował.

— Akurat najlepszy moment do zamiany — mruknęła emerytka.

— Pani bezczelność przekracza wszelkie granice. Rysiu, jak możesz dopuścić, żeby byle kto mnie obrażał!

— Tylko nie byle kto.

— Spokój! Proszę o spokój. W ten sposób do niczego nigdy nie dojdziemy,

— Oto moja torebka, proszę, niech pan porucznik sam sprawdzi, co w niej jest — to mówiąc Zofia Kolanko podsunęła torebkę oficerowi milicji.

— Dziękuję — odmówił Balcrski — niech pani zajrzy sama.

— Naturalnie, że papierosów nie ma — stwierdziła pani Zofia po przetrząśnięciu swojej torby.

— Kiedy szukałem butelek po piwie — stwierdził podporucznik — zbadałem czy ich nie ma pod siedzeniami. Tam także papierosów nie było. Ale może znajdziemy niedopałki?

To mówiąc Marian Balerski zajrzał do umocowanej pod stoliczkami metalowej śmietniczki. Leżało tam pięć niedopałków. Jeden wypalony zaledwie w dwóch trzecich nosił ślady damskiej pomadki do ust. Oficer delikatnie wyjął ze śmietniczki wszystkie niedopałki i schował je do koperty. Następnie zajrzał do dwóch popielniczek znajdujących się w przedziale po każdej stronie drzwi. Tutaj także wykrył dwa niedopałki. Jeden z nich wypalony zaledwie w połowie również zaczerwieniony był damską szminką. Pety powędrowały do koperty oficera milicji.

— Można niedopałki oddać do analizy — zauważył pan Strzelczyk — i stwierdzić, czy są zatrute—

— Zrobimy to na pewno — podporucznik lekko się uśmiechnął. — Z opowiadania państwa niezbitcie wynika, że papierosy palili państwo wszyscy. A więc nasuwa się podejrzenie, że to właśnie one były przyczyną waszego dziwnego snu. Badania mogą to tylko potwierdzić.

— Ustalenie drogi, jaką przechodziły te papierosy — Edward Strzelczyk znowu zabrał głos — doprowadzi do wykrycia złodzieja.

— O nic innego nie chodzi — zauważył podporucznik. — Jak więc było z tą paczką „Maracho”?

— Może ja wyjaśnię — wtrącił się Jan Ceglewicz. — Poprosiłem konduktorę, żeby ktoś z „Warsu” roznosząc napoje przyniósł mi te papierosy. Innych nie palę. Rzeczywiście, roznosicielka piwa miała „Maracho”. Kupiłem paczkę. Rozpieczętowałem papierosy i częstowałem nimi wszystkich znajdujących się w przedziale.

— To nie tak było — pani Mariańska znowu zabrała głos. — Pan położył paczkę na stoliku, a pańska sąsiadka wzięła ją do ręki i długo oglądała. Nawet włożyła ją do swojej torebki.

Zofia Kolanko zaczerwieniła się.

— Zrobiłam to zupełnie odruchowo. Zaraz papierosy wyjęłam i położyłam z powrotem na stoliku.

— Ja tam widziałem — dorzucił Zygmunt Chcdysz — że tę paczkę miał najpierw pan Strzelczyk. Wyjął ją z kosza roznosicielki, kiedy ona sprzedawała mnie i panu Kolanko butelki z piwem. Wtedy pan Strzel-

czyk oglądał „Maracho” i odłożył je do koszyka, a zdecydował się na „Carmeny”. Dopiero potem paczka trafiła do pana Ceglewicza. A także do tej pani.

— Pan mnie posądza? — zdenerwował się prezes spółdzielni.

— Ja tylko mówię, jak było.

— Ale gdzie się podziały te papierosy? — zapytał Ceglewicz,

— Zniknęły razem z butelkami piwa — odpowiedział. Ryszard Kolanko. — Po prostu przestępca usunął dowód rzeczowy.

— To były moje papierosy. Ja nimi częstowałem — oświadczył Jan Ceglewicz— żeby więc nikt mnie nie podejrzewał, proszę, oto moja walizeczka.

To mówiąc młody człowiek podniósł się ze swojego miejsca, sięgnął na półkę, zdjął małą czarną teczkę walizkę i otworzywszy ją, wyrzucił, całą zawartość na ławkę. Był tam tylko ręcznik, mydło, przybory do golenia i jakaś książka o barwnej okładce.

— Proszę także pana porucznika, żeby mnie zrewidował przy świadkach, bo każdy na mnie spogląda jak na złodzieja. A przecież mnie również okradli, i to nie z własnych pieniędzy.

— Żadnego zarzutu panu nie postawiłem — stwierdził porucznik — ani panu. ani nikomu innemu. Dopiero badamy sprawę. Proszę schować swoje rzeczy do walizki.

TAJEMNICZY BRODACZ

— Przypomniałam sobie w tej chwili — powiedziała Jadwiga Mariańska — że kiedy sprzedawczyni stała w drzwiach naszego przedziału, koło niej zatrzymał się jakiś młody człowiek. On także sięgnął po papierosy „Maracho”. Miał paczkę w ręku, a następnie oddał ją z powrotem i zadowolony się „Sportami”. Tę samą paczkę następnie kupił pan Ceglewicz. W pewnej chwili człowiek ten znalazł się za plecami roznosicielki. A potem, dopóki nie zasnął, stale się kręcił w pobliżu naszego przedziału. Najwyraźniej zerkał, co się u nas dzieje.

— Jak wyglądał ten mężczyzna?

— Jak zbój Madej. Długie czarne kudły i nie mniej długa broda zakrywająca prawie całą twarz. Nosił także czarne okulary, chociaż w wagonie wcale nie było tak jasno, żeby trzeba było w ten sposób chronić oczy.

— To był bardzo miły młody człowiek — dorzuciła pani Zofia — podejrzewanie, że jest złodziejem, to zupełny nonsens. Kiedy wsiadaliśmy do wagonu, otworzył drzwi i wziął od nas walizki. Moją przyniósł aż do drzwi przedziału. Zerkał tutaj, bo liczył, że wyjdę na korytarz i będzie mógł ze mną porozmawiać.

— Chyba tylko jak z mamusią albo koleżanką szkolną mamy — złośliwie zauważyła Mariańska. — Ten chłopak miał najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Pani Zosia wydeła ukarminowane usteczka. Ale gdyby spojrzenia mogły zabijać, Mariańska byłaby już zimnym trupem.

Konduktorka w czasie tej rozmowy znajdowała się na korytarzu. Teraz więc podporucznik poprosił pana Strzelczyka siedzącego tuż przy drzwiach, żeby wezwał dziewczynę do przedziału.

— Czy pani widziała na korytarzu młodego człowieka z brodą?

— Widziałam — przyznała dziewczyna.

— Co się z nim stało?

— Wysiadł w Poznaniu.

— A dlaczego jechał na korytarzu? ?

— Po prostu nie miał miejscówki. Ale tak prosił, żebym mu pozwoliła jechać, że zgodziłam się wpuścić go do wagonu. Miał bilet do Międzyzdrojów, ale przypomniał sobie, że musi coś załatwić w Poznaniu. Pytał mnie nawet, czy bilet będzie później ważny na dalszą drogę.

— Pani była cały czas na korytarzu tego— wagonu?

— Naturalnie, że nie. Muszę sprawdzać bilety i w innych wagonach. Ale, że nasz przedział służbowy udostępniłmy paru osobom, więc kiedy miałam wolną chwilę, spędzałam ją na ławeczce w tym wagonie. Tutaj było dużo luźniej niż w pozostałych. Tylko ten młody człowiek i ja. Rozmawialiśmy, żeby nie usnąć. To bardzo wesoły facet. Takie kawałki opowiadał, że można było zrywać boki ze śmiechu .

— I tak nagle wysiadł w Poznaniu?

— Tłumaczył, że ma tam przyjaciela i postanowił się z nim zobaczyć. To muzyk. Jechał do Międzyzdrojów, bo tam miał grać w orkiestrze, w kawiarni „Meduza”. Ale dopiero od poniedziałku. Więc się namyślił i te trzy dni chciał spędzić w Poznaniu ze swoim przyjacielem którego od lat nie widział, To logiczne, nie?

— Logiczne tak jak to, że nie zobaczymy naszych pieniędzy —wtrącił Strzelczyk. — Facet zamienił papierosy, sprawdził, czy już śpimy, i kiedy konduktorki nie było w naszym wagonie, wszedł tutaj i nas szybko i skutecznie załatwił. A potem przezornie wysiadł w Poznaniu. ,

— Jeżeli to muzyk, znajdziemy go bez większego trudu.

— Na pewno muzyk. Miał futerał ze skrzypcami. Chciał mi nawet zagrać jakiś swój kawałek, ale ponieważ nie okazałam entuzjazmu, zaprosił mnie do „Meduzy” w Międzyzdrojach. Mówił to chyba tylko dla lipy — dodała dziewczyna.

— Nie wymienił swojego nazwiska?

— Nie. Tylko mówił, żeby go nazywać Piotr. Ja mu także powiedziałam, że jestem Elka. Na tym się skończyło.

Balerski odnotował w swoim zeszycie: „Piotr — muzyk z «Meduzy»" i postawił przy tych słowach znak zapyłania. A następnie podziękował konduktorce za informacje.

— Przypomniało mi się — dodał Zygmunt Chodysz, kiedy już za dziewczyną zamknęły się drzwi — że te papierosy miały jakiś dziwny smak. Inny niż normalne „Maracho”.

— A pan palił je wcześniej?

— Nie tylko, że palił, ale ma nawet paczkę „Maracho” w kieszeni płaszcza — spokojnie wyjaśnił Jan Ceglewicz. — Kiedy wstawałem, żeby państwu zademonstrować zawartość mojej teczki, przypadkowo zauważyłem w kieszeni płaszcza pana Chodysza zieloną tekturkę. Charakterystyczną dla „Maracho”.

— Pan ma te papierosy? — zapytał podporucznik. — Proszę nam pokazać.

Zygmunt Chodysz, bardzo zmieszany, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął stamtąd zielone pudełko. Paczka była pomięta i wewnątrz znajdowały się tylko cztery papierosy.

— Nie przyznawałem się — tłumaczył młody człowiek — bo miałem tylko kilka sztuk, a ten pan tek się domagał tych papierosów, że dla nas obu by nie starczyło. Już nie mówiąc o tym, że trudno czterema papierosami obczęstować sześć osób.

— Ale można było zamienić paczki — głośno myślał Ryszard Kolanko — a następnie, kiedy już wszyscy spali, wyrzucić zatrute papierosy choćby przez okno, paczkę zmieść, żeby robiła wrażenie używanej, i zatrzymać w niej tylko dobre sztuki.

— Pan zupełnie zwariował.

— Można zwariować, jeżeli się traci tyle pieniędzy gotówką i drogą biżuterią żony — odparł z irytacją Kolanko.

— Ale pan zapomina, że ja w ogóle nie miałem tej kupionej paczki w ręku. To właśnie pańska żona ją schowała do swojej torebki. Niby przez omyłkę.

— Kiedy ją wyjęłam — wyjaśniła pani Zosia — i położyłam na stoliku, właśnie pan po nią sięgnął. Przypominam sobie to bardzo dobrze. Oglądał pan te papierosy, jak gdyby pan je po raz pierwszy w życiu widział. To bardzo dziwne tak oglądać paczkę, jeżeli drugą taką samą ma się we własnym płaszczu.

— Wydawało mi się — głupio tłumaczył się piłkarz — że te kupione przez paca Ceglewicza „Maracho” są inaczej opakowane. •

— Co pan powie — mruknął Edward Strzelczyk.

— Pan pozwoli — powiedział milicjant — że zatrzymam tę paczkę aż do wyjaśnienia sprawy.

— Proszę bardzo — Chodysz nie mógł się nie zgodzić. — Pan, poruczniku, zamiast podejrzewać kolejno nas wszystkich, którzy przecież zostali właśnie okradzeni, zająłby się odszukaniem prawdziwego sprawcy przestępstwa.

— To nie ja was podejrzewam — spokojnie wyjaśnił podporucznik — to wy sami nawzajem się podejrzewacie. Ja, jak na razie, nie skończyłem naszej wyjaśniającej rozmowy i nikomu nie postawiłem żadnego zarzutu. A kto według pana jest tym przestępcą?

— Najpewniej ta dziewczyna, która roznosiła piwo i papierosy. Miała — wyjaśniał piłkarz — jedną paczkę przygotowaną z góry dla „lepszych gości”. Kiedy zobaczyła na ręku pani Kolanko taką cenną biżute-

rię, postanowiła ją „kupić” za tę paczkę „Maracho”. Jak już spaliśmy, dziewczyna i jej „wspólnik”, weszli do przedziału i nas wszystkich obrobili. Te cztery patyki to dla mnie miga. Chłopaki będą boki zrywać, jak im opowiem, że mnie ogolili bez mydła. Co innego, reszta tych państwa.

— Na jakiej podstawie pan podejrzewa roznosielkę? ^

— Kiedy spałem, na moment otworzyłem oczy. I wydaje mi się, że tę dziewczynę widziałem. Pochyliła się nad panią Zolią.

— Śniło się panu — zaprotestował Edward Strzelczyk. — Żadna kobieta tu nie wchodziła. Owszem, był mężczyzna, ale nie widziałem jego twarzy.

— Nie był a tylko stanął w progu — poprawiła pani Mariańska — i zaraz po cichu zamknął drzwi za sobą.

— To nie był mężczyzna, to była kobieta — zaprotestowała pani Zofia — ale nie podchodziła do mnie. Tylko stała przez moment w drzwiach. A potem, rzeczywiście, po cichu je zamknęła.

CO SIĘ KOMU ŚNI?

— Sen — po chwili zastanowienia zabrał głos podporucznik — jak to stwierdzili uczeni, nie składa się tylko z pewnej utraty świadomości. Nie trwa także jednym ciągiem od momentu zaśnięcia, aż do obudzenia. Rozróżnia się co najmniej trzy jego fazy. Pierwsza to zapadanie w sen. Składa się ona z krótkich, kilkusekundowych zaśnięć i tak samo krótkich przebudzeń. W tym czasie człowiekowi w ogóle zdaje się, że nie spał. Druga faza to tak zwany mocny sen. Wtedy występują niejaki senne. Przeważnie białe— czarne, ale mogą być i kolorowe. Wreszcie trzecia faza snu to pewien okres przed definitywnym przebudzeniem się. Ta trzecia faza jest dość podobna do pierwszej. Ale nawet ta druga, mocny sen, nie trwa bez przerwy. Człowiek budzi się w czasie snu dość często. Może wówczas coś zauważyć. Coś, o czym później nie wie, czy to mu się śniło, czy też to widział na jawie. Także i sen narkotyczny, w jaki państwo zapadli, nie trwał bez żadnych przerw. Dlatego będę was prosił, żebyście kolejno opowiedzieli mi, co się wam śniło, czy też co może zauważyliście na jawie, budząc się choć na króciutką chwilkę. Ale bardzo proszę, będę wypytywał każdego z was kolejno. Niech pozostali nie przerywają i nie wtrącają swoich uwag. Zgoda? A więc zacznę od pana Strzelczyka.

Tym razem prezes spółdzielni nie protestował. Krótco przypomniał, że pił kawę. Przyznał także, że kiedy roznosicielka sprzedawała dwóm panom piwo, wziął z jej koszyka paczkę „Maracho”, ale zaraz ją odłożył na miejsce i zdecydował się na „Carmeny”. „Maracho” palił już kilkakrotnie, lecz nie bardzo mu smakowały. Częstowany przez pana Ceglewicza, przez grzeczność przyjął ofiarowanego mu papierosa i wypalił aż do końca. Niedopałek wrzucił do popielniczki znajdującej się koło jego siedzenia.

— Pan wspomniał, że już kilkakrotnie palił „Maracho”. Czy ten wypalony w przedziale miał jakiś inny smak?

Edward Strzelczyk trochę się namyślał:

— Wtedy, kiedy paliłem, nie przyszło mi to na myśl. Ale teraz, zastanawiając się nad tym, muszę przyznać, że ten od pana Cegiewicza był chyba lepszy w smaku. Ale może mi się tak tylko zdaje. Palę dość dużo, a przedtem nie paliłem przynajmniej dwie godziny. Głodnemu chleb zawsze lepiej — smakuje. Tak jest i z papierosem.

— Czy roznosicielka miała tylko jedną paczkę?

— Nie. Dwa kartony. Jeden rozpieczętowany. Ale ta paczka leżała osobno.

— Czy to była ta sama, którą wcześniej oglądał ten muzyk z brodą?

— On ją wziął po mnie. Ja odłożyłem „Maracho” z powrotem do kosza, a wtedy on podszedł i wziął te papierosy. Ja zaś zacząłem pomagać roznosicielce otwierać piwo, bo robiła to bardzo niezręcznie. Nawet z jednej butelki sporo piwa się rozlało, bo w przeciwieństwie do mojej kawy, która była prawie zimna, piwo było ciepłe.

— Co było dalej?

— Wszyscy wypalili po papierosie i wszystkich powoli ogarnęła dziwna senność. Pierwsza usnęła pani Kolanko. Pamiętani nawet mąż śmiał się, że jego żona zastrzegła się, iż w poeta — nie zmruży oka, a tymczasem od razu zasnęła. Po niej kolejno inni zapadali w drzemkę. Mnie także zaczął morzyć sen. Ale zanim zasnąłem, na prośbę mojej sąsiadki zasunąłem firanki i zamknąłem drzwi na zasuwkę.

— I zaraz pan zasnął? — zapytał podporucznik.

— Nie od razu. W ogóle dość trudno zasypiam. Także i wczoraj wieczorem nie mogłem sobie znaleźć wygodnej pozycji. Wreszcie wtuliłem twarz w płaszcz wiszący za mną i zapadłem w drzemkę. Nie wiem, czy to mi się śniło, czy też jeszcze nie spałem, ale zdawało mi się, że ktoś otwiera drzwi potem je delikatnie zamyka.

— Kto?

— W tamtym momencie byłem już tak śpiący, że nie miałem siły otworzyć oczu. W ogóle nie jestem pewien, czy to była rzeczywistość, czy majak senny.

— A później?

— Potem poczułem, że ktoś mną potrząsa i uderza po twarzy. Otworzyłem oczy i zobaczyłem przed sobą jakąś postać. W pierwszej chwili, zanim całkowicie nie oprzytomniałem, myślałem, że umarłem i to anioł stoi nade mną. Później zorientowałem się, że to oficer milicji, który mnie cuci.

— Wróćmy jednak do momentu, kiedy zapaliliście te papierosy. Co się dalej stało z paczką „Maracho”.

— To nie były przecież moje papierosy i nie interesowałem się tym.

— Czy właściciel schował je do kieszeni? Edward Strzelczyk trochę się namyślał nad odpowiedzią.

— Raczej nie. Wydaje mi się, że razem z zapałkami położył je na stoliczku pod oknem. Ale nic jestem tego pewien.

— Czy ten pan używał zapalek do zapalania papierosów?

— Nie. Wprawdzie wyjął zapalki i miał je w ręku, ale w drugiej ręce trzymał paczkę papierosów i częstował nas nimi. W tej sytuacji nie mógł posługiwać się zapalkami. Pan spod okna podawał nam ogień ze swojej gazowej zapalniczki. Właściciel papierosów położył pudełko zapalek na stoliku, a później także paczkę „Maracho”.

— Czy pan często jeździ do Międzyzdrojów?

— Byłem tam trzy lata temu.

— A do Szczecina?

— Tylko raz pojechałem wodolotem, żeby zwiedzić miasto. Później nigdy już w Szczecinie nie byłem.

— Dziękuję, a teraz chętnie wysłucham pana Ceglewicza.

— Chyba już wszystko powiedziałem. Kupiłem paczkę papierosów od roznosicielki. Zapłaciłem, rozpieczętowałem tę paczkę i częstowałem obecnych tu państwa. Palę „Maracho”. ponieważ tylko te papierosy nie szkodzą mi na gardło. Od innych dostaję zaraz chrypki.

— Czy zauważył pan, jaką drogę przechodziła ta paczka, zanim została otworzona?

— Nie. Nie zwracałem na to uwagi. Jedynie pamiętam, że pani Zofia ją oglądała i z powrotem położyła na stoliku.

— Przyglądał się pan tej paczce?

— Niespecjalnie. Papierosy jak papierosy. Niczego nadzwyczajnego nie zauważyłem.

— Pan często jeździ do Szczecina?

— Co najmniej raz, dwa razy na miesiąc. Bywa że i po dwa razy w tygodniu. Jak już mówiłem, jestem zaopatrzeniowcem. Rozjazdy po kraju w poszukiwaniu różnych materiałów to chleb powszedni w naszej branży.

— A w jakiej branży pan pracuje?

— W samochodowej.

— O, to bardzo ciekawe — ucieszył się podporucznik — może w przyszłości będę także waszym klientem, jak się dorobię własnych „czterech kółek”. Gdzie pan pracuje i w jakim celu tym razem jechał pan do Szczecina?

— Pracuję w „Mechanice Samochodowej”.

— Co to za firma? Państwowa czy prywatna?

— Prywatna.

— Trzeba tak z pana wyciągać stówko po słówku...

— Kiedy jestem taki zdenerwowany. Straciłem przeszło osiem tysięcy złotych. Nie moich pieniędzy. Jechałem do Szczecina, aby kupić części do samochodu „Volvo”. Teraz nie mam forsy, aby za nie zapłacić. Właściciel poniesie jeszcze większą stratę i narazi klienta na czekanie. Proszę się więc nie dziwić, że tracę głowę. Sam nie bardzo wiem, co mówię.

— Rozumiem pana sytuację. Zresztą jest ona podobna do położenia reszty pasażerów. Zrobimy, co w naszej mocy. aby wykryć złodziei i odzyskać zabrane wam pieniądze i kosztowności.

— Miejmy nadzieję. że to wam się uda — w głosie Jana Ceglewicza brakowało jednak akcentów optymistycznych.

— Jak to jest z tym kupowaniem części w Szczecinie?

— Warsztat, w którym pracuje, specjalizuje się głównie w naprawach samochodów „Volvo”. Naturalnie, przyjmujemy także i inne. Najwięcej jest „Fiatów 125” i maluchów. Ale „Volvo” to nasza wizytówka. Co prostsze części sami dorabiamy, ale inne trzeba kupować. Przy sprowadzaniu oficjalną drogą trzeba za nie płacić w dewizach i na dodatek czekać dość długo. Ale w Szczecinie pełno jest Szwedów z drugiej strony Bałtyku. Pan Paweł Chrzan, właściciel firmy, nawiązał kontakt z nimi. Wystarczy zatelefonować. Oni tam kupią i przywiozą do Szczecina.

— Tak za piękne oczy?

— No, nie — roześmiał się młody człowiek — dostają tutaj pieniądze. Ale w złotówkach. Oni i tak te ciački zostawią w mieście. Ale za to dobrze się zabawią. Rozumie pan teraz, w jakiej głupiej sytuacji się znalazłem. Szwedziak przywiezie klamoty, a ja nie mam dla niego forsy. Zostanie w obcym mieście bez grosza.

— Mniejsza o niego. Na pewno da sobie radę. Jakies korony znajdzie w kieszeni — podporucznik machnął ręką. Wracajmy do momentu, kiedy już wszyscy wypalili te papierosy. Pan jest ich zwolennikiem, czy zauważył pan jakąś zmianę w smaku?

— Nie. Żadnej.

— Od razu pan zapadł w mocny sen?

— Najpierw zasnęła moja sąsiadka. Oglądała „Burdę”, w pewnej chwili odłożyła żurnal i już spała. Wtedy i ja postanowiłem nie walczyć z ogarniającą mnie sennością. Już zasypiając zauważyłem, że ktoś zgasił światło w naszym przedziale. Niczego więcej nie pamiętam. Jak gdybym nagle stracił przytomność.

— A później?

— Później? Może mi się śniło, a może to była jawa. Już właśnie szarzało. Wydawało mi się, że ktoś jest w przedziale. Z wielkim wysiłkiem otworzyłem oczy i spostrzegłem, że jakaś postać, jakby sięgała w stronę mojej sąsiadki, pani Zofii i zaraz się wycofała z przedziału.

— Tak właśnie było — zawołał Zygmunt Chodysz pamiętam bardzo wyraźnie. Ta kobieta pochylała się nad panią Kolankową. Stała tuż przy mnie. Pan Ceglewicz najwidoczniej obudził się razem ze mną. Już się rozwidniało.

— Umówiliśmy się, panie Chodysz — podporucznik zwrócił uwagę piłkarzowi — że nikt nie będzie przerywał i wtrącał się do rozmów. Na pana także przyjdzie kolej.

— Przepraszam.

— Czy ta osoba, pan mówi kobieta, była w białym fartuchu?

— To na pewno była kobieta, ale miała jakiś szary płaszcz. Fartuch bardziej by się odbijał od półmroku panującego w przedziale.

— Pani także wspominała — Marian Balerski zwrócił się do emerytki — że kogoś widziała w nocy w przedziale. Co pani sobie przypomina?

— Jestem bardzo zmęczona. Ten sen narkotyczny bardzo mnie osłabił. Od niewygodnej pozycji bolał mnie kości i mięśnie. A do tego w głowie huczy, jak gdyby tam pracowało paru kowali. Nawet kawa, którą nam pan porucznik sprokurował, niewiele pomogła. Ze wszystkich rzeczy — dodała Jadwiga Mariańska — które dobry Bóg wymyślił, najmniej udała mu się starość. Całe szczęście, że wypaliłam tylko połówkę tego przekłętego papierosa. Inaczej, na pewno bym się poważnie, rozchorowała.

— Ale czy w nocy pani kogoś widziała w przedziale?

— Tak. Pan Chodysz oskarżał wyraźnie roznosicielkę piwa. Ona miała sprzedawać zatrute papierosy. Ale ja jestem całkowicie przekonana, że ta kobieta jest niewinna.

— Dlaczego?

— Bo widziałam złodzieja.

— Trzeba było podnieść alarm.

— Wtedy nic myślałam, że to złodziej. Obudziłam się nagle w środku nocy. Po prostu poczułam bardzo silny ból w karku. Wtedy otworzyłam na chwilę oczy i zauważyłam, że w przedziale stoi tuż koło mnie jakiś mężczyzna.

— Widziała go pani?

— Tak. W przedziale przecież paliła się mała, niebieska lampka. To był dość wysoki mężczyzna. Stał bez ruchu. Twarzy jego nie widziałam, bo był chyba odwrócony do mnie bokiem. To był tylko króciuteński moment. Zmieniłam pozycję. Ból w karku znikł, a ja znowu zapadłam w ten niedobry sen.

— Pani jedzie do Międzyzdrojów?

— Tak. Mam tam opłacone wczasy. Na szczęście biletu mi nie skradziono. A że starsi ludzie są zwykle przezorni, więc mam książeczkę PKO w walizce. Pomimo więc dotkliwej straty, jaką poniosłam, nie znalazłam się w położeniu bez wyjścia.

— Całe szczęście — podporucznik uśmiechnął się lekko.

— Pan naprawdę sądzi — w głosie Mariańskiej słychać było lekką nutkę nadziei — że mamy jakiegokolwiek szanse odzyskania naszych pieniędzy? Cały rok oszczędzałam, aby na wczasach czuć się „milionerką” i nagle wszystko diabli wzięli.

— Nie diabli, tylko złodzieje. Złapiemy ich.

— Oby tak było — westchnęła emerytka.

— Pani poniosła największą stratę, złoty zegarek i bransoletkę — zauważył Balerski zwracając się do Zofii Kolanko — dobrze, że chociaż pierścionki ocalały. '

— Całe szczęście. Są więcej warte niż bransoletka i zegarek. Od dziecka śpię zawsze z zaciśniętymi dłońmi. To ocaliło te pierścionki. Złodziej bał się chyba rozwierać mi dłonie. Mogłabym się obudzić. Tym bardziej że wypaliłam tylko trochę więcej niż połówkę zatrutego papierosa.

— Od dzisiaj — mruknął Edward Strzelczyk — będę spał trzymając rękę na piersiach. Tam gdzie w marynarce noszę portfel.

Podporucznik surowo spojrział na prezesa spółdzielni, ale nic nie powiedział. Znowu zapytał panią Zofię:

— Czy w nocy pani się obudziła? A może coś się pani śniło?

— Chyba się obudziłam. I to stosunkowo niedługo po zaśnięciu. Za oknem było zupełnie ciemno. W przedziale paliła się tylko niebieska lampka. W jej świetle zauważyłam jak gdyby cień wysuwający się z przedziału i za chwilę usłyszałam odgłos delikatnie zamykanych drzwi.

— Jeśli za oknem było ciemno, to chyba obudziła się pani jeszcze przed Poznaniem. Rozwidnia się po godzinie trzeciej nad ranem.

— Na pewno było jeszcze ciemno.

— To był mężczyzna?

— Na pewno kobieta.

— Po czym pani to wnioskuje? Przecież sama pani stwierdziła przed chwilą, że to był tylko jakiś cień.

— Ale kobiecy cień. Nie umiem panu powiedzieć, na czym opieram swoją pewność. Widziałam tę postać krótko, kątem oka. Nie byłam zupełnie rozbudzona, ale mam wewnętrzne przekonanie, że to była jednak kobieta. Pamiętam jeszcze, że trochę bolała mnie szyja. Spałam z głową odrzuconą do tyłu. Wtedy też zmieniłam pozycję. Położyłam obie ręce na stoliku i na nich oparłam głowę.

— W takiej pozycji znaleźliśmy panią rano. Otworzyłem okno i pani od razu się obudziła. Pani dużo pali?

— Bardzo mało. Tylko kilka papierosów dziennie. Czasami ani jednego.

— Dlaczego więc zapaliła pani „Maracho”?

— Po prostu nigdy tych papierosów nie tylko nie paliłam, ale też nawet nie widziałam. Chociaż mało palę, zawsze jednak mam papierosy w torebce. Dlatego odruchowo, po obejrzeniu paczki „Maracho”, scho- wałam ją do torebki. A papierosa zapalałam z prostej ciekawości. Kobiety są przecież ciekawe.

— Tak jak i mężczyźni. Smakował pani ten papieros?

— Nawet bardzo. W przeciwnym wypadku zaciągnęłabym się nim najwyżej dwa, trzy razy.

— Pani często bywa w Szczecinie?

— Nie. W ogóle nigdy w, tym mieście nie zatrzymywałam się. Dwa razy byłam w Międzyzdrojach. Ale to było przed co najmniej dziesięciu laty.

— A pan, panie Kolanko? — podporucznik zwrócił się do meża pani Zofii.

— Ja chyba byłem w Szczecinie przed czterema, a może trzema laty. Rozglądałem się wtedy za surowcem dla mojej wytwórni. Ale nic z tego nie wyszło.

— Ponieśliście państwo dużą straty. Największą ze wszystkich tu obecnych.

— Tak to w życiu jest. Raz się zarobi, innym razem się traci. Nie da rady, trzeba będzie mojej pani te świecełka odkupić.

— Spróbowałbyś nie — syknęła pani Zofia.

— Po co miał pan tyle gotówki?

— Wiadomo, jedzie się na wczasy. Trochę się trzeba zabawić. A poza tym zawsze dobrze mieć parę groszy w kieszeni. Może się coś trafi. Międzyzdroje. Świnoujście, dużo cudzoziemców. Głównie Szwedów. To także handlowy naród. Czasem, jak się nie ma gotówki przy sobie, najlepsza okazja przejdzie przed nosem.

— A książeczkę oszczędnościową pan chociaż wziął?

— Gdzie tam. Słyszałem, że w Międzyzdrojach trudno z podejmowaniem gotówki. Na poczcie zawsze wielki tłok. Ale to nic. Na śniadanie mi jeszcze starczy. Wiałem w kieszeni marynarki sporo bilonu i ze trzech „generałów”. Wyśle telegram i syn, który zastępuje mnie w wytwórni, przyśle pieniądze.

— Na długo państwo do Międzyzdrojów?

— Na miesiąc. Mamy wykupiony „Orbis”. Ja myślę, panie poruczniku, że ta kradzież to numer roznościelki piwa. Wbrew temu, co mówiła pani Mariańska, ja tę dziewczynę najbardziej podejrzewam. Ona przecież przyniosła „Maracho”. Nie wzięła paczki z kartonu, tylko podała leżącą osobno w koszyku. To dobrze pamiętam. Kiedy palem przysłała po puste butelki, załatwiła także i forszę.

— Pan wie, że przychodziła po butelki?

— Musiała przyjść, bo butelek w przedziale nie ma.

— Po wypaleniu papierosa od razu pan usnął?

— W parę minut potem.

— Nic pan nie pamięta z tej nocy?

— Chyba nic. Tylko tego kelnera.

— Kelnera? Co on robił w waszym przedziale?

— Otworzył drzwi. I to mnie obudziło, albo jeszcze na dobre nie usnąłem.

— Widział pan go dobrze?

— Naturalnie. Przecież w przedziale nie było tak zupełnie ciemno.

— Co on robił? To był ten sam kelner, który , przynosił herbatę i kawę?

— Otworzył drzwi i wszedł do środka. Chciałem go zapytać po co, ale on sam szybko się wycofał.

— Widział, że pan nie śpi?

— Naturalnie, że widział, bo jak drzemałem z głową opartą o zagłówek, to wtedy podniosłem ją i patrzyłem na niego.

— A on?

— On zamknął drzwi. Pamiętam, że zamknął także na klucz tak, jak to przedtem zrobił ten pan siedzący przy drzwiach. Chwilę patrzyłem za nim, ale znowu mi się spać zachciało, więc przysnąłem.

— A pana żona wtedy spała?

— Na pewno spała. Z odrzuconą do tyłu głową.

— Może ten kelner zabrał butelki po piwie?

— Nie. Jak się obudziłem, chciało mi się pić. Pomyślałem,— że dobrze byłoby łyknąć trochę piwa, ale przypomniałem sobie, że wypilem wszystko. Butelki stały na stoliku.

— Pan na pewno je wtedy w nocy widział?

— Na pewno.

— A później już się pan nie budził?

— Nie. Dopiero kiedy żona i pan porucznik zaczęliście mnie doprowadzać do przytomności.

— Tak więc — stwierdził podporucznik — pozostała nam tylko rozmowa z panem Zygmuntem Chody-
szem.

— I po co to wszystko— znowu zaproponował pan Strzelczyk — przecież z tych rozmów nic nie wyni-
kło. My nadal jesteśmy bez pieniędzy, a pan także nie wie, kto nas okradł.

— To prawda —zgodził się Balerski — jeszcze nie wiem. Ale nie tracę nadziei, że będę wiedział. A te
rozmowy, wbrew pana opinii, są jednak bardzo ważne dla dochodzenia. Pozwalają one bowiem ustalić moż-
liwie najściślej przebieg wypadków.

— Co z tego — upierał się prezes spółdzielni — i tak wiemy, że zatruto nas chyba papierosami „Ma-
rach©”. Ale nic wiemy, skąd się ta paczka wzięła w naszym przedziale. Czy roznosicielka ją nam sprzedała,
czy też ten brodacz zrzęcznie zamienił paczki. A może oboje byli w zмовie. On wysiadł nagle w Poznaniu z
naszą gotówką, a tej dziewczyny pan nawet nie przesłuchał. Tylko nas pan niepotrzebnie męczy.

— Porozmawiam i z roznosicielką. Niech pan będzie o to spokojny. Przyjdzie kolej na nią i resztę per-
sonelu „Warsu”. Najpierw jednak skończę rozmowy z państwem. Pozostał pan Chodysz. Niech pan mi po-
wie, kim pan właściwie jest. Mówił pan o zawodzie ślusarza, a potem twierdził pan, że jest piłkarzem.

— Na etacie to jestem w fabryce jako ślusarz. Ale tam tylko po pensję przychodzę. Gram jako lewy
napastnik w „Gwieździe” w pierwszej lidze.

— Często pan bywa w Szczecinie?

— Ostatnio byłem na meczu ligowym z „Pogonią”, kiedy oni jeszcze nie spadli z pierwszej ligi. Cza-
sem na jakieś inne spotkanie mojej „Gwiazdy”. To wychodzi najmarniej raz do roku. A także nie więcej niż
trzy razy w sezonie.

— Pan jedzie teraz na wczasy gdzieś na wybrzeże czy tylko do Szczecina?

— Jadę do Wiselki. Tam piłkarze „Huraganu” mają obóz.

Teraz podporucznik się zdziwił:

— Przecież sam pan przed chwilą powiedział, że gra w „Gwieździe”.

— Przenoszę się do waszego „Huraganu”.

— Nie rozumiem. „Huragan” gra w lidze międzywojewódzkiej, a „Gwiazda” w pierwszej. To byłaby
przecież degradacja dla pan?.

Piłkarz beztrąsko się roześmiał:

— Coś pan, poruczniku. Tam się gra, gdzie złotówki lecą. Kiedy przed rokiem przenosiłem się z „Opolanki” co „Gwiazdy”, trajlowali mnie na wszystkie strony. Obiecywali dziewięćdziesiąt tysięcy na przeprowadzkę, talon na malucha, trzypokojowe mieszkanie w Warszawie i co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie. Forse na przeprowadzkę i talon dali, ale z resztą dotychczas mnie bajerują. Wykombinowali etat w jednej z fabryk za głupie siedem tysięcy, resztę mam dorobić z premii za wygrane mecze. Tacy mężczyźni.

— Ile te premie wynoszą w pierwszej lidze?

— Zaledwie sześć tysięcy za wygrany mecz na wyjeździe. A cztery na własnym boisku. Za remisy połowa, za przegrane zaś w ogóle nie chcą płacić. Ja nie frajer, trzeba brać manatki i gdzie indziej szukać szczęścia..

— Tak... — uśmiechnął się podporucznik — rzeczywiście ostatnio „Gwiazda” słabo gra. Jest chyba na dziewiątym miejscu w lidze.

— Już na jedenastym — poprawił Zygmunt Chodysz. — Przegrywają mecz za meczem i premii nie chcą płacić.

— Chyba by nawet nie mogli wypłacić za przegrane mecze.

— Za darmo nikt grać nie będzie. Ja pierwszy...

— O ile wiem, w lidze między wojewódzkiej premii się nie płaci. Albo dużo mniejsze niż w ekstraklasie.

— Gdy będę w „Huraganie”, dadzą mi w fabryce etat brygadzysty czy mistrza. Na rękę będę dostawał ze dwa patole więcej. Poza tym przyrzekli mi takie same premie jak w pierwszej lidze, i to bez względu na wynik meczu. Na przeprowadzkę dadzą sto pięćdziesiąt tysięcy. Mieszkanie M— 4, już mi klucze pokazywali. A także talon na dużego „Fiata” albo na „Poloneza”. Całe towarzyszycho się ze mnie śmieje, że do tej pory jeżdżę maluchem. Piłkarz z ekstraklasy i wsiada do „Fiata 126”.

— To rzeczywiście dziwne — zauważył z ironią podporucznik — ale z „Huraganem” także nie jest w tej chwili najlepiej. W lidze międzywojewódzkiej bliżej mu do końca niż do początku.

— Właśnie dlatego muszą bulić, żeby dostać dobrych chłopaków do roboty. Rozmawiają już z kilkoma z „Wisły”, z „Ruchu” i z innych klubów.

— A skąd mają na to forse?

— Coś pan, na piłkę nożną zawsze się znajdzie. Innym sekcjom obetną. A poza tym frajerstwo, to znaczy kibice, dają. O forse nie ma strachu. Zakład przemysłowy także ze swoich funduszy wspiera klub fabryczny. Przecież dyrektor jest prezesem i siedzi w łoży honorowej.

— Żeby cię przenieść z klubu do klubu trzeba mieć zwolnienie. Czy „Gwiazda” panu da?

— Jak nie da, nie zmartwienie. Najwyżej roczek posiedzę z tyłu za bramką „Huraganu”. Będę z nimi trenował. Pieniądze i tak będą leciały. Ale myślę, że się dogadają. Dadzą „Gwieździe” tyle, żeby mogła kupić kogoś innego. Ja ostatnio nie za dobrze grałem. Nie miałem już serca do „Gwiazdy”.

— Wracajmy jednak do naszych spraw. Czy pan czuł jakiś dziwny smak paląc tego papierosa?

— Nie.

— Ale potem zachciało się panu spać?

— Nie od razu.

— Proszę opowiedzieć, co się działo, jak już roznosicielka przyniosła piwo i papierosy.

— Ja wziąłem butelkę piwa i ten pan który obok mnie siedział. A ten z naprzeciwka poprosił o papierosy „Maracho”.

— Pan widział, jak sprzedawczyni wyjmowała je z kosza?

— Nie. To było inaczej. Dziewczyna najpierw chciała, żebyśmy jej zapłacili za piwo. Ja dałem drobniaki. a mój sąsiad stówkę. Ona wydawała resztę. Wtedy przyszedł do roznosicielki jakiś facet i także prosił o papierosy „Maracho”. Podała mu paczkę, bo stał tuż przy niej. Wyjęła ją z prawie pełnego kartonu. Ale facet nie kupił, zwrócił papierosy i ostatecznie wziął chyba „Klubowe”. Wtedy roznosicielka podała te „Maracho” panu z naszego przedziału.

— Tę samą paczkę, którą oglądał i miał w ręku ten klient?

— Na pewno tę samą. To się tak odbyło, że on jej zwrócił papierosy, a ona z kolei podała je temu panu z naszego przedziału.

— Czy tamten na korytarzu mógł zamienić paczki?

— Jeśli miał fart w ręku, to i mógł. Pamiętam, że starannie oglądał te papierosy. Jak gdyby je pierwszy raz widział. Stał trochę z tyłu za dziewczyną, ale czy je zamienił, tego ja nie widziałem.

— Co było potem?

— Co miało być? Wypiłem piwko, przyjąłem papierosa i zapaliłem. Jak i inni w przedziale. A potem kolejno uderzaliśmy w kimono.

— Nie dziwiło to pana?

— Nie. przecież było późno. Po jedenastej. Najpierw usnęła pani blondynka spod okna. Później chyba ten z przeciwka, a po nim mąż blondynki. Starsza pani poprosiła o zgaszenie światła i także zaraz zasnęła. Ja na samym końcu.

— A przed usnięciem nie zapalił pan jeszcze drugiego papierosa?

— Nie.

— Przecież leżały na stole.

— Leżały. Pamiętam, że postawiłem koło nich pustą butelkę po piwie. Ale nie paliłem. Nie chciało mi się. Zresztą miałem swoje. Nie brałbym cudzego.

— A kto wypalił dwa „Maracho”?

— Nikt. Wszyscy wypalili po jednym.

— Jak wyglądał ten facet na korytarzu?

— Czarny. Miał brodę, długie włosy i wąsy. Nosił okulary. A nochal miał jak armatę.

— Poznałby go pan?

— Po tym nosie wszędzie. Poza tym nie pierwszy raz go widziałem. To naprawdę muzyk. Grywał w warszawskich knajpach ubiegłej zimy.

— Gdzie?

— Chyba w „Złotej Kaczce” albo w „Sielance”. A może na Grójeckiej? Oni się często zmieniają. Raz gra tutaj, a za dwa miesiące gdzie indziej.

— Czy budził się pan w nocy?

— Nie. Spałem aż do rana.

— Szkoda.

— Ja także żałuję, że nie czułem, jak mi sięgają do kieszeni. Dałbym draniowi łupnia. Pan porucznik by go dłużej cucił, niż nas wszystkich razem. Po prostu nie miałem siły się obudzić.

— Więc jednak czuł pan, że ktoś wyciąga mu portfel?

— Nie. Ale drzwi na korytarz otwierają się z pewnym hałasem. Słyszałem w nocy, jak je otwierano i zamykano.

— Czy to było zaraz, jak pan usnął?

— Nie wiem. Otwierano i zamykano drzwi kilka razy. Słyszałem to wyraźnie, ale nie miałem siły otworzyć oczu.

— Kilka razy?

— Co najmniej ze trzy razy. A może nawet cztery...

— Słyszał pan jakieś kroki? Że ktoś wchodzi lub wychodzi z przedziału?

— Nie. Tego nie słyszałem. Tylko skrzyp tych drzwi.

— A przecież nie dalej jak przed półgodziną — podporucznik przypomniał piłkarzowi pan wyraźnie stwierdził, że widział roznosicielkę w przedziale.

— No tak. Chyba ją widziałem — zgodził się młody blondyn.

— Jak to wreszcie było? Widział ją pan czy nie?

— Widziałem albo mi się śniło, że ją widzę. Stała tuż przy moim miejscu i nachylała się w stronę pani Kolanko.

— To na pewno była roznosicielka? Widział pan jej twarz?

— Twarzy nie widziałem, ale miała na sobie biały fartuch, więc musiała to być roznosicielka.

— To było jeszcze przed Poznaniem?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Było jeszcze ciemno.

— Co pan jeszcze pamięta?

— Pamiętać, to nic nie pamiętam więcej. A z tymi papierosami to wyszło z mojej strony głupio. Miałem w paczce tylko cztery sztuki. Dlatego, jak pan Ceglewicz mówił o „Maracho”, nie zdradziłem się, że mam kilka w kieszeni. A jak już się nie przyznałem od razu, trzeba było bujać, że się je pierwszy raz widzi. Tylko dlatego wziąłem jednego, kiedy mnie poczęstował. Gdybym wyciągnął swojego, złapałbym złodziejkę na gorącym uczynku. Ciężki frajer ze mnie. Niech mnie na najbliższym meczu w gołęń kopną.

Marian Balerski spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta rano. Do Szczecina pozostało jeszcze półtorej godziny jazdy. Nawet jeżeli pociąg się nie opóźni, na co zresztą się nie zanosilo, bo jechał bardzo wolno. Najwidoczniej na tym odcinku torów dokonywano wymiany szyn, czy też podkładów kolejowych. Podporucznik uznał, że jeszcze zdąży porozmawiać z pracownikami „Warsu”. Zwłaszcza chodziło mu o rozmowę z roznosicielką, którą podróżni niedwuznacznie oskarżali o kradzież.

— Na razie dziękuję państwu za informacje, jakich mi udzieliliście. — Podporucznik wstał z miejsca i skierował się do drzwi. — Są one naprawdę bardzo cenne i na pewno przyczynią się do wykrycia złodzieja. Teraz już dłużej nie będę was męczył. Ale nie żegnaj się z państwem. Zr.ru. po przyjeździe do Szczecina, będziecie musieli przejść do kolejowego komisariatu MO i tam złożyć oficjalne zeznania. Być może, że to ja będę was tam przesłuchiwał.

— Znowu zacznie się od początku to przelewanie z pustego w próżne. Kto miał paczkę papierosów w ręku, kto kiedy usnął i tak dalej — prezes Strzelczyk jak zwykle był niezadowolony — a naszych pieniędzy i tak nigdy nie zobaczymy.

Marian Balerski nie zareagował na to agresywne zachowanie. Stojąc w progu przedziału lekko skinął głową i cicho zamknął za sobą drzwi. Konduktorka siedziała na ławeczce w korytarzu. Kiedy zobaczyła oficera milicji, podeszła do niego.

— I co, panie poruczniku? — zapytała. Uśpiono ich zatrutymi papierosami — Balerski nie widział powodu, żeby robić tajemnicę z tego, co dotychczas ustalił — a następnie okradziono.

— Dużo zabrano?

— Razem z biżuterią było tego na prawie dwieście tysięcy złotych.

— No tak — zgodziła się konduktorka — teraz nad morzem sezon w pełni. Do Międzyzdrojów jeżdżą przeważnie ludzie zamożni. Nie tyle, żeby odpocząć, ile żeby się zabawić. Więc każdy ma pełny portfel. A ta pani spod okna obwieszona była biżuterią jak choinka bożonarodzeniowa świecidełkami. Po co taki majątek nosić na sobie?

— Żeby inni widzieli, jaka ona bogata.

— Toteż złodziej zobaczył i skorzystał z tego. — Czy będę panu potrzebna?

— Naturalnie. W Szczecinie będzie pani musiała złożyć zeznania. A jeszcze teraz chciałbym z panią trochę porozmawiać. Chyba zdążymy przed przyjazdem do Szczecina?

— Jeszcze nie dojechaliśmy do Stargardu. Mamy duże opóźnienie, bo na tym odcinku torów ograniczono szybkość pociągów. Jak dojedziemy do Szczecina za dwie godziny, będzie dobrze.

— Tym razem jest mi to bardzo na rękę. Zdążę porozmawiać z panią, a także z pracownikami „Warsu”.

— Tutaj obok jest cały pusty przedział — zaproponowała konduktorka. — Jechali jacyś panowie, ale wszyscy wysiedli w Krzyżu.

— To świetnie. Będzie można spokojnie porozmawiać.

Konduktorka otworzyła drzwi przedziału i usiadła naprzeciwko oficera milicji.

— To jest tylko taka, półprywatna rozmowa — wyjaśnił podporucznik — niemniej bardzo ważna dla dochodzenia milicyjnego, które w tej sprawie zostanie wszczęte. Dlatego bardzo proszę, żeby pani opowiedziała mi wszystko, co tylko pani zauważyła w tym wagonie. Nawet najdrobniejsze szczegóły, pozornie bez znaczenia, mogą być decydujące dla wykrycia złodzieja.

— Rozumiem — przytaknęła dziewczyna,

CO WIDZIAŁA KONDUKTORKA?

— A więc przede wszystkim — nazywam się Marian Balerski. Jestem podporucznikiem milicji i pracuję właśnie w kolejowym komisariacie w Szczecinie. Tym, który rozpocznie śledztwo w tej sprawie. Tak to się dawno złożyło.

— Raczej szczęśliwie dla tych okradzionych. Milicja była od razu aa miejsca przestępstwa.

— Pani nazwisko?

— Elżbieta Grzankowska. Mam dwadzieścia trzy lata. Mieszkam w Warszawie. Skończyłam, tam „kolejówkę” i po odbyciu praktyki najpierw jeździłam na pociągach podmiejskich. Potem przesiadłam się na osobowe, a w końcu na pospieszne.

— Jak przebiegała pani praca tej nocy?

— Normalnie jak to w sezonie urlopowym, pociąg nad morze był wypełniony do ostatniego miejsca. Niby wolno nam wpuszczać do wagonów tylko z miejscówkami. Ale jak odmówić ludziom, którzy mają wykupione wczasy, dla których zabrakło miejscówki? Więc się przymyka oczy na to, że podróżni bez miejscówek jadą na korytarzu. Dzisiaj także w drugiej klasie aż trudno przejść przez wagon. tak tam pełno. W pierwszej jest dość luźno.

— A ten przedział?

— Kiedy sprawdzałam tam bilety, pewien pan prosił. bym zawiadomiła roznosicielkę. że chce kupić papierosy „Maracho”. Naturalnie zgodziłam się na to, bo i tak szłam w tamtym kierunku. Zresztą znam tego pana z widzenia, bo często jeździ do Szczecina.

— Powiedziała pani roznosicielce?

— Tak. Spotkałam ją w drugim czy trzecim wagonie. Wyjaśniła. że ma te papierosy w koszyku. Ona sprzedawała piwo. coś do jedzenia i papierosy, a ja szłam w przeciwnym kierunku. sprawdzając bilety podróżnych.

— Pani paliła kiedy te „Maracho”?

— W ogóle nie palę. Jakoś nie mogłam się nigdy nauczyć.

— Zazdroszczę pani. Ja niestety pod tym względem okazałem się bardzo zdolnym uczniem.

— Tylko pod tym względem? — konduktorce podobał się miody oficer.

— Różnie bywało. Czy widziała pani. by w innych wagonach kupowano te papierosy?

— Raczej tak. Widziałam, że roznosicielka, pani Krysia. miała w koszyku kilka kartonów „Maracho”.

— Pani całą noc pracowała?

— Między Warszawą a Poznaniem mało kto wsiadał. Ale zarówno w Kutnie, jak i w Koninie, kiedy pociąg się zatrzymywał, stałam na peronie— Właściwie można by się było trochę przedrzemać. ale był taki tłok. że już w Warszawie nasz konduktorski przedział matkom z dziećmi.

— Przecież to pociąg tylko z miejscówkami. Konduktorka uśmiechnęła się.

— Kto nie ma miejscówki, mówiłam to przed chwilą, a musi jechać, przychodzi na stację, wsiada do pociągu i jedzie. Jeżeli nie znajdzie siedzącego miejsca, stoi na korytarzu. Przecież ludzi z wagonu nie wyrzuci się.

Te sprawy podporucznik dobrze znał. Wiedział, że konduktorzy wpuszczają do swojego przedziału podróżnych, licząc na ich „wdzięczność”. To już jest uświęcone tradycją, sięgającą chyba początków kolejnictwa.

— W „dwójkach” ciągnęła dalej konduktorka — ludzie stali na korytarzach, tak że ciężko było się przecisnąć, żeby ich zabiletować.

Oficer milicji przypominał sobie radiowe wykłady niedawno zmarłego profesora. Doroszewskiego. jak on walczył z takimi potworkami językowymi, jak „zabiletowanie” czy słynny „upiór dzienny”. Ale w kolejarskiej gwarze zabiletowanie jest nie śmiertelne.

— A w pierwszej, tam gdzie jechali nasi pasażerowie?

— W pierwszej było luźno. Tylko jeden pasażer siedział na ławeczce w korytarzu. Ludzie boją się wchodzić do pierwszej klasy, bo mam prawo, a nawet obowiązek, żądać, aby ci z biletem drugiej dopłacali do pierwszej klasy.

— Nawet za stanie na korytarzu?

— Nawet. Ale tamten pan miał bilet na jedynekę. Wprawdzie bez miejscówki, więc siedział na składanej ławce.

— Jak wyglądał?

— Czarny z brodą. Bardzo wesoły. Takie kawałki opowiadał, że mało się ze śmiechu nie popłakałam. To muzyk. Jechał do Międzyzdrojów.

— Palił papierosy?

— Częstował mnie „Sportami”, ale ja nie palę. Wsiadł w Poznaniu. Pan porucznik już mnie o niego wypytywał.

— Pani długo była na korytarzu pierwszej klasy?

— Już mówiłam, że swoje miejsce oddałam jakiejś pani z dzieckiem. Jak tylko miałam wolną chwilę, wracałam do tego wagonu. Najpierw rozmawiałam z tym czarnym, a później drzemałam na krzeselku. Tak zresztą jak i on.

— Musiała pani widzieć, kto wchodzi czy też. wychodzi z przedziałów.

— Wchodzić to nie, bo cały wagon zappełnił się w Warszawie. A wychodzić, wiadomo, ludzie wychodzili. Zapalić na korytarzu papierosa albedo toalety.

— Mnie interesuje, czy do tego przedziału ktoś w nocy wchodził.

— Ja sama weszłam. Właściwie to otworzyłam drzwi i zaraz zamknęłam.

— Kiedy to było?

— Jak pociąg ruszył z Kutna. Zauważyłam, że w Kutnie do wagonu pierwszej klasy wsiadło kilku podróżnych. Kiedy więc sprawdzałam bilety nowo przybyłym w dwójkach, zaglądałam także do przedziałów jedyńki.

— Po co? Przecież wszystkie miejsca były już w Warszawie zajęte. Sama pani to przed chwilą powiedziała.

— Tak, ale w „jedyńce” siedzi po sześciu ludzi. Jeżeli zechcą się trochę ścieśnić, znajdzie się jeszcze miejsce dla dwóch osób. Często to tak bywa.

— Czy wtedy też tak się stało?

— Nie, we. wszystkich przedziałach był tylko komplet.

— A w tym przedziale?

— Kiedy otworzyłam drzwi, zauważyłam, że , wszyscy już byli zabiletowani i wszyscy śpią. Żeby ich nie budzić, po cichutku zamknęłam je z powrotem.

— Na klucz?

— Na klucz.. Przedtem także musiałam swoim kluczem je otworzyć.

— Kto ma klucze do przedziałów?

— Zasadniczo wszyscy konduktorzy. To taki uniwersalny klucz, który otwiera trzy rodzaje zamków wagonowych. Te w przedziałach otwierają się tą stroną z kwadratowym wycięciem — to mówiąc konduktorka zademonstrowała oficerowi milicji swój klucz — ale teraz także i pracownicy „Warsu” mają, bo zbierają szklanki i butelki.

— Skąd mają te klucze?

— Może „Wars” dostał je od kolei, może sami wykombinowali... Taki klucz nie sztuka zrobić. A im to bardzo ułatwia pracę.

— Czy widziała pani, żeby ktoś poza panią także wchodził do tego przedziału?

— Tak, widziałam. Pan Wacusi narzekał, że nie może się doliczyć szklanek po kawie i herbacie. Chodził od wagonu do wagonu i zaglądał do przedziałów. Tam także wszedł, ale zaraz wyszedł

— Miał coś w ręku?

— Nie. Żadnej szklanki tam nie znalazł. —A butelki po piwie?

— Pan Wacusi butelek nie zbiera, bo on piwa nie sprzedaje. To robi pani Krysia.

— Kto to jest ten pan Wacusi i pani Krysia?

— Pan Wacusi to kelner z „Warsu”. Wacław Daleczny. Krysia zaś to roznosicielka napojów i papierosów. Krystyna Fajencka.

— Pani długo z nimi pracuje?

— Z Krysia już przeszło pół roku jeździmy razem na tej linii. Z kelnerem ze trzy miesiące.

— Kiedy Daleczny zbierał te szklanki?

— Ty było jeszcze pomiędzy Kutnem a Koninem. Zajrzał do tego przedziału w jakiś kwadrans po mnie. Ja wtedy rozmawiałam z tym brodatym muzykiem.

— A poza panem Wacusiem nikogo pani nie zauważyła?

— Nie. — Te słowa konduktorka wymówiła bardzo niepewnie.

— Ejże? Uprzedzam panią, że za fałszywe zeznania grozi kara. Teraz nie powiedziała pani prawdy. Kogo pani chce osłaniać?

— Kiedy naprawdę ja nie jestem tego pewna.

— Niech pani jednak powie. Przecież zanotujemy, że pani nie stwierdza tego faktu z całą stanowczością.

— Nie chciałabym się narazić. W takim pociągu pracuje się całą noc przez nieraz długie lata. Dobre stosunki między pracownikami kolei i „Warsu” ułatwiają pracę.

— Rozumiem panią. Ale tu chodzi o bardzo poważne przestępstwo. Kradzież grubo ponad stu pięćdziesięciu tysięcy w gotówce i biżuterii. Kradzież połączoną z odurzeniem poszkodowanych jakimś narkotykiem, co mogło mieć tragiczne skutki. Tu nie można się wahać.

— Ja to wszystko wiem, panie poruczniku — Elżbieta Grzankowska nie była całkowicie przekonana wywodami oficera milicji — ale nie chciałabym, aby myślano, że jestem donosicielką i rzucam podejrzenia na być może niewinną osobę.

— Być może na winną — z naciskiem powiedział podporucznik.

— W Poznaniu trochę osób wysiadło, inni wsiedli. Miałam sporo roboty. Przeważnie w dwójkach. Z tej jedyńki trzy osoby wysiadły, a dwie do niej wsiadły. Im bilety sprawdziłam od razu. Jak tylko pociąg ruszył z Poznania. Potem poszłam do drugiej klasy. Kiedy wracałam do tego wagonu, żeby trochę odpocząć, bo do Szczecina nie było nic do roboty, zauważyłam, że drzwi jednego z przedziałów otworzyły się i wyszła z nich Krysia. Ale nie wiem, z którego przedziału — zastrzegła się dziewczyna — czy z tego z tymi uspio-nymi, czy z sąsiedniego.

— Może zbierała butelki?

— Nie. Nie miała kosza, jaki zawsze nosi. Także nie była w białym fartuchu, którego używa przy pracy. Była w tym płaszczyku, jaki ma i teraz na sobie.

— Rozmawiała pani z nią?

— Nie. Kiedy mnie zobaczyła na korytarzu, jakby się zmieszała i szybko odeszła w stronę bufetu „Warsu”. Ja szłam z drugiej strony i dlatego nie spotkałyśmy się.

— Może pani pamięta, która wtedy była godzina?

— Nie patrzyłam na zegarek. Ale to było pomiędzy Poznaniem a Krzyżem. Już zaczynało szarzeć. Chodziłam po wagonach i wyłączałam oświetlenie elektryczne.

— W przedziałach?

— Nie. Na tablicy rozdzielczej. W każdym wagonie znajduje się taka szafka, zwykle przy toalecie, na korytarzu. Otwiera się ją innym kluczem niż przedziały.

— Ma pani jeszcze dużo pracy?

— Nie. Już przecież nikt do tego pociągu nie wsiądzie. Zatrzymujemy się tylko w Stargardzie. Stamtąd już są ze Szczecinem połączenia podmiejskie. Muszę tylko sporządzić raport z drogi i złożyć meldunek o zauważonych uszkodzeniach.

— Uszkodzeniach, czego?

— Jak zwykle. Jakiś wybryk chuligański czy bezmyślność. W jednej z toalet urwany kran i — woda lała się na podłogę. Ktoś wykręcił także w innym wagonie dwie żarówki. Po co? Przecież napięcie prądu jest na kolei inne niż w sieci elektrycznej w miastach. Ale to wszystko mogę zrobić także na miejscu w Szczecinie. Wracamy do Warszawy dopiero wieczorem. Będzie więc czas na papierkową robotę, odpoczynek i nawet pójście do miasta.

— To dobrze. Muszę jeszcze porozmawiać z pracownikami „Warsu”. Chciałbym, żeby pani albo była przy tej rozmowie, albo znajdowała się w pobliżu. Być może trzeba będzie pewne fakty wspólnie ustalać i wyjaśniać. A następnie, tego się nie da uniknąć, zgłosi się pani do nas, do komisariatu kolejowego na przesłuchanie.

— Jak mus, to mus. Nie ma rady.

— Wymieniła pani nazwiska kelnera i roznościelki. Zanotowałem je sobie. Krystyna Fajencka i Wacław Daleczny. A ile osób pracuje w bufecie „Warsu”?

— Tylko trzy. Kierownik pracuje na miejscu. Sam wydaje potrawy i napoje. Pozostała dwójka pomaga mu, jeżeli nie prowadzi sprzedaży roznośnej po wagonach. A także razem utrzymują porządek w przedziale, sprzątają i zmywają naczynia. W nocnych pociągach mają ruch tylko w pierwszych godzinach. Potem można przedział zamknąć i nawet trochę się przespać,

— A jak się nazywa kierownik „Warsu”?

— Andrzej Pakulski. To długoletni kierownik. Pracował już chyba na wszystkich liniach w Polsce. Kiedy jeszcze jeździły wagony restauracyjne, był kierownikiem jednego z nich. Teraz pozostało mu mniej niż dziesięć lat do emerytury, więc się przeniósł na nocną, bardziej spokojną i mniej męczącą pracę.

— Chodźmy — zdecydował oficer milicji — porozmawiać z tymi ludźmi.

— Pan myśli, że to któreś z nich okradło podróżnych?

— Nie wiem. Ale jest faktem, że Krystyna Fajencka sprzedawała „Maracho” i tymi papierosami zostali uspieni podróżni w sąsiednim przedziale. A następnie doszczętnie okradzeni. Trzeba wyjaśnić, skąd się wzięła ta paczka z narkotykiem.

KOBIETA, KTÓRA KŁAMIE

Część wagonu drugiej klasy, którą zajmował „Wars”, była zamknięta. Na drzwiach wisiała wywieszka „Bufet nieczynny”. Podporucznik musiał długo stukać, zanim wreszcie pojawił się kierownik Pakulski. Na widok oficera milicji i konduktorki, otworzył! drzwi i wpuści! ich do środka.

— Dlaczego bufet nieczynny?

— Po prostu jeszcze wieczorem sprzedaliśmy wszystko, co było do picia i do jedzenia. Teraz mógłbym handlować tylko herbatą. Zresztą nikt by na nią nie reflektował. Piwo to by poszło, bo wielu podróżnych suszy po wczorajszym zaprawieniu się. A co z tymi chorymi?— zapytał kierownik.

— Już prawie dobrze.

— Co im było? Coś zjedli?

— Nie. Wypalili zatrute papierosy, polem zasnęli i wtedy ich okradziono.

— Co pan mówi? To straszna historia. Dużo im zabrano? — Andrzej Pakulski był naprawdę bardzo przejęty usłyszaną wiadomością.

— Razem będzie prawie dwieście tysięcy złotych.

— Psiakrew! Napije się pan porucznik kawy? A pani Ela?

— Z przyjemnością — zgodził się oficer.

— Zaraz naleję. Właśnie zaparzyłem dla nas — kierownik napełnił czarnym płynem dwie filiżanki i postawił je na stoliku — co za wypadek! Tyle lat jeżdżę na kolei i o czymś podobnym u nas nie słyszałem. Czytałem nawet niedawno, że są takie bandy usypiaczy, które obrabiają podróżnych we Włoszech. Ale żeby w Polsce?

— Właśnie w tej sprawie przyszedłem. Muszę z wami wszystkimi porozmawiać. Jest parę spraw do wyjaśnienia.

— A co my mamy z tym wspólnego? — zabrał głos kelner Daleczny, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie kierownika z oficerem milicji. — Niech pan szuka złodzieja. My mamy swoją robotę.

— Właśnie go szukam — podporucznik lekko się uśmiechnął. — Jest faktem, że tamtych ludzi uspięno papierosami kupionymi u was.

— To nieprawda — zawołała Krystyna Fajencka siedząca przy sąsiednim stoliku.

— To jednak fakt, przede wszystkim z panią chciałem o tym porozmawiać. A potem z pozostałymi panami..

— Bardzo proszę — kierownik „Warsu” od razu zrozumiał, że tego przesłuchania nie da się uniknąć — my nie mamy nic do ukrycia. A za moich ludzi mogę ręczyć.

— To bardzo ładnie z pana strony. A pani może usiądzie tu naprzeciwko mnie. Będzie nam łatwiej rozmawiać. Znam pani nazwisko: Krystyna Fajencka, czy tak?

— Zgadza się.

— A inne dane personalne?

— Chodzi panu o rok urodzenia?

— Wiek, wykształcenie, miejsce zamieszkania, stan cywilny.

— Mam dwadzieścia dziewięć lat. Skończyłam szkołę podstawową i zasadniczą szkołę krawiecką. Jestem mężatką. Mąż pracuje w przedsiębiorstwie budowlanym. Mamy dwoje dzieci: syna i córkę. W ubiegłym roku dostaliśmy mieszkanie w Warszawie na Stegnach.

— Długo pani pracuje w „Warsie”?

— Przeszło cztery lata. Najpierw w restauracji na Dworcu Wschodnim, potem cały czas w wagonach i bufetach w pociągach.

— Ma pani taki dobry fach w ręku — zdziwił się podporucznik — zdolne krawcowe są wszędzie poszukiwane. W butikach zarabiają podobno do dziesięciu tysięcy złotych. A te, co szyją w domach, także nie narzekają.

— Tamta robota szkodziła mi na wzrok. W „Warsie” praca jest ciekawsza niż ślęczenie cały dzień nad maszyną. Zarabia się także nie najgorzej. A poza tym po każdej jeździe mam jeden lub dwa dni wolne. Mogę więc dla siebie czy dla przyjaciółek też coś uszyć. A dom łatwiej prowadzić i opiekować się dziećmi. Kiedy wyjeżdżam, dziećmi zajmuje się moja matka z mężem. Ale ona jest już starsza i chorowita, nie mogłaby mi pomagać na co dzień. Więc tak jest lepiej.

— Pani prowadzi sprzedaż obnośną piwa i papierosów?

— Również herbatników i bułek. A poza tym robię razem z mężczyznami wszystko, co potrzeba, żeby bufet mógł funkcjonować sprawnie i żeby podróżni byli zadowoleni.

— Chciałbym z panią porozmawiać tylko o papierosach i o tej kradzieży w wagonie pierwszej klasy.

— Ja nic nie wtem.

— Pasażerowie zostali uśpieni zatrutymi papierosami „Maracho”. Pani je sprzedała jednemu z podróżnych.

— Miałam cztery kartony „Maracho”. Sprzedałam prawie wszystkie. Zostały mi zaledwie trzy paczki. Mam je w torebce — to mówiąc Fajencka położyła na biurku oficera wyjęte z torby papierosy. — Gdybym sprzedawała zatrute, w każdym wagonie znaleźlibyście śpiących pasażerów. Ja papierosów nie zatrulałam ani nie okradłam tych państwa.

— Tego zarzutu — odpowiedział podporucznik — jeszcze pani nie postawiłem. A skąd mogła się w pani kartonach wziąć paczka z narkotykiem?

— Nie wiem. Może ktoś zamienił? Te papierosy dopiero niedawno wypuszczono na rynek. Poza Warszawą trudno je dostać. A i w Warszawie nie w każdym kiosku. Dlatego wielu podróżnych ogląda te „Maracho”. bierze paczkę do ręki, ale jej nie kupuje, tylko mi zwraca.

— Ile pani brała za paczkę?

— Normalnie. Dwadzieścia złotych.

— Pasażerowie zeznali, że wzięła pani trzydzieści złotych.

Fajencka zmieszła się.

— Może przez pomyłkę wzięłam dziesięć złotych za dużo. Gotowa jestem zwrócić.

— Czy w tym wagonie ktoś kupował lub oglądał „Maracho”?

— Jedna pani kupiła.

— Z którego przedziału?

— Od razu przy samych drzwiach, A oglądał taki pan z czarną bredą. Podeszedł do mnie, jak sprzedawałam piwo, wziął paczkę do ręki, ale zaraz ją oddał. Potem te papierosy sprzedawałam właśnie w tym przedziale.

— Pani ma doskonałą pamięć.

— Ten pan mógł zamienić dobre papierosy na zatrute — sugerowała roznosicielka — kiedy oglądał „Maracho”, stał za moimi plecami..

— Znajdziemy tego pana i sprawdzimy — zapewnił podporucznik.

— Wyglądał na skończonego bandziora.

— Pani sprzedała w tym przedziale dwie butelki piwa i te papierosy?

— Tak.

— A co się stało z pustymi butelkami?

— Co się miało stać? Szłam w jedną stronę, to sprzedawałam piwo. Wracałam i zabierałam puste butelki. W tym przedziale także zabrałam.

— Pamięta pani, jak to było?

— Normalnie. Otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że puste butelki stoją na stoliku, zapytałam, czy już je można wziąć. Jeden z panów podał mi je.

— Który?

— Ten młody blondyn.

— Co wtedy podróżni robili?

— Rozmawiali. Palili papierosy i przedział był dość zadymiony.

— Pani ma klucz kolejowy?

— Mam.

— Dostaliście z „Warsu”? Albo od PKP?

— Kupiłam od jakiegoś kolejarza. Nie wiem, jak on się nazywa. Nam kluczy nie dają, chociaż są nam bardzo potrzebne. Pasażerowie zamykają się w przedziałach i śpią, a my nie możemy zebrać naczyń, za które odpowiadamy pieniądze. Trzeba dobijać się do przedziałów i wszystkich budzić. Mając klucz po cichu otworzy się przedział i zabierze szklanki i butelki.

— Przecież szklanek pani nie zabiera.

— Nie zawsze roznoszę piwo. Czasami także herbatę i kawę. Wtedy zabieram szklanki.

— A dzisiaj?

— Zabierałam tylko butelki.

— Także z tamtego przedziału?

— Ze wszystkich wagonów.

— Kiedy?

— Najpierw poszłam do końca pociągu z pełnymi butelkami, a wracając zbierałam puste. Te pastę zebrałam, kiedy już pociąg poszł z Kutna.

— Potem także chodziła pani jeszcze po wagonach?

— Nie. Po dwunastej już nie ma handlu. Ludzie nie kupują. Każdy usiłuje się choć trochę zdrzemnąć w drodze. Także i w przedziale bufetowym nie ma ruchu. Położyłam się więc w naszym służbowym pomieszczeniu za bufetem i trochę się przespałam. Dopiero przed chwilą się obudziłam, bo czas sprzątać.

— Co jeszcze może mi pani powiedzieć o pracy dzisiejszej nocy?

— Nic. Taka sama praca, jak zwykle. Dostaję towar od kierownika i sprzedaję go podróżnym. Rozliczam się z pieniędzy. Jeżeli się omylę, muszę dołożyć ze swoich. Normalka.

— Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pani powiedziała prawdę. Chyba pani sobie zdaje sprawę, że jest jedną z podejrzanych o dokonanie tej kradzieży. Więc kłamstwa tylko pogarszają sytuację.

— Powiedziałam prawdę.

— A co pani Grzankowska na to powie? Zanim konduktorka otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, wtrącił się kierownik bufetu, Andrzej Pakulski.

— Naturalnie, że Krystyna kłamała.

— Co pan opowiada! — oburzyła się kelnerka.

— Ja za ciebie — mówił dalej kierownik — w szambo nie będę wlaził. Nieraz was ostrzegałem, że te wasze pokątne handle źle się skończą. I tak macie dobre zarobki, nie potrzeba kantować. Pensja leci, a goście nie żądają, żeby resztę wydawać co do grosza. W każdym kursie najmarniej do tysiąca złotych sobie utłuczesz. Ale tobie to wszystko za mało.

— O czym kierownik mówi?

— O tych papierosach „Maracho”. Skąd je wzięłaś? Może powiesz, że ja ci wydałem z magazynu?

Kelnerka milczała.

— Jak się zaopatrujecie w prowiant? — zapytał podporucznik.

— Centralnie — wyjaśniał Pakulski. — W „Warsie” jest rozbudowany dział zaopatrzenia. Tam każdy kierownik bufetu składa zapotrzebowanie, i towar dowozi się prosto do wagonu. Niektóre towary zabieramy od razu na całą podróż w obie strony. Inne, takie jak napoje, uzupełnia się na końcowej stacji, bo nie mamy takich możliwości składowych, aby z Warszawy wziąć na całą podróż.

— A te „Maracho”?

— Nigdy — jeszcze nie dostałem ani jednego kartonu. Nie powiem, stale składam zamówienia na te papierosy i na „Marlboro”, ale ich nie dostaję. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Mogę w każdej chwili pokazać panu porucznikowi specyfikacje przyjmowanych towarów.

— Skąd więc się wzięły „Maracho” w koszu pani Fajenckiej?

— Niech pan ją sam o to spyta. Albo ja panu także powiem. Walczymy z nielegalną sprzedażą, ale przecież nie mogę wszystkiego kontrolować. Nie słyszał pan nigdy o „lewej wódce” sprzedawanej w restauracjach przez nieuczciwych kelnerów i barmanów? To samo z tymi „Maracho”. Krystyna sprzedawała je po trzydzieści złotych. Bez mojej wiedzy, na własny rachunek. Teraz rozumiem, dlaczego od pewnego czasu tak nam zmalała sprzedaż papierosów. Bo powstała prywatna konkurencja. Jak się sprzedawało dziesięć kartonów „Maracho”, to się miało tysiąc złotych na czysto. A za to w magazynie „Warsu” zostało dziesięć kartonów innych papierosów. Jasne? — kierownik aż poczerwieniał ze złości.

— Skąd pani wzięła te „Maracho”?

— Dostawałam je od Wacka.

— Jakiego Wacka? — podporucznik nie zorientował się, o kogo chodzi.

— Od pana Dalecznego. On je brał od znajomego kioskarza.

— O k... — zaklął kelner. — Musiała się głupia wygadać.

— Porozmawiam jeszcze i z panem — stwierdził podporucznik — a teraz proszę nam nie przeszkadzać.

— Więc jak to było z tymi papierosami?

— Dzisiaj dostałam najpierw cztery kartony. Jak szłam w tamtą stronę. Sprzedawałam po trzydzieści złotych paczka. Ludzie chętnie kupują, bo to nowe papierosy. Podobno dobre. Sprzedałam wszystko i idąc w drugim kierunku znowu wzięłam pięć kartonów. Zostały tylko te trzy paczki. Ja miałam cztery złote na paczce. Wacek brał sześć, ale musiał się dzielić z kioskarzem.

— No to nareszcie jesteśmy w domu.

— Ja tych papierosów nie zatrulałam, ani nie okradłam tych państwa! Przysięgam na życie moich dzieci! — kobieta była bliska płaczu. — Sama rozrywałam wszystkie kartony. Każda paczka była tak samo zapieczętowana. Nie zauważyłam, żeby któraś różniła się od drugiej. Wyjmowałam kolejno z kartonów, jak podróżni żądali.

— A co było potem?

— Przecież już mówiłam. Przeszłam na koniec pociągu i wracając zabierałam puste (butelki. Potem znowu uzupełniłam zapas towaru i poszłam w stronę lokomotywy. Kiedy wróciłam, położyłam się spać.

— Po co pani zanwu kłamie?

— Nie kłamie — zaperzyła się roznosicielka.

— Kogo pani widziała? — podporucznik zwrócił się do konduktorki.

— Widziałam panią Fajenczką w wagonie pierwszej klasy. Wychodziła z jakiegoś przedziału. Ale nie wiem, czy z tego gdzie podróżni zostali okradzeni. — Elżbieta Grzankowska miała bardzo nieszczęśliwą minę. Dużo by dała, żeby nie musiała o tym mówić. — To już było za Poznaniem i było już prawie wiedeńskie.

— Jak pani Fajenczka była ubrana?

— Nie w roboczym fartuchu, tylko w płaszczu.

— To się zgadza — potwierdził kierownik. — Krystyna znowu kłamie. Wcale się nie kładła spać. Jak skończyła obchód wagonów, zaraz znowu gdzieś wyszła. Kiedy wróciła, siedziała i przeglądała jakiś kolorowy żurnal mój. Coś nawet przerysowywała. Potem, właśnie już za Poznaniem znowu opuściła nasz przedział. Widziałem to dobrze, bo nie spałem, tylko prowadziłem rachunki i pisałem zamówienia.

— Wszyscy podróżni zeznali — dodał podporucznik — że dopóki nie zapadli w narkotyczny sen, nikt nie przychodził po butelki. A są i tacy, którzy widzieli panią w przedziale. Była tam pani bodaj dwa razy.

— Jeszcze raz powtarzam, że ja tych państwa nie okradłem.

— Mamy dowód, że przynajmniej jednego okradła pani na dziesięć złotych. Tyle, ile przepłacił za paczkę „Maracho”.

— Wielka rzecz dziesięć złotych!

— Może niewielka, jeśli chodzi o zwykłe papierosy, inna sprawa, jeżeli za te pieniądze dostało się papierosy zaprawione środkiem nasennym i później nie znalazło w portfelu ośmiu tysięcy złotych.

— Ja tych pieniędzy nie ukradłam.

— Nic więcej nie ma pani do wyjaśnienia?

— Nie mam.

— Szkoda — stwierdził podporucznik — ale trudno, nie mogę pani zmusić do mówienia prawdy. Niech więc teraz miejsce zajmie pan Waław Daleczny. Mam nadzieję, że pan rozumie sytuację i będzie mówił tylko prawdę.

PUCHAR PRZECHODNI

— Naturalnie. Teraz już nic nie może mi zaszkodzić. Najgorzej współpracować z takimi, które nie tylko kręcą, ale i nie umieją utrzymać języka za zębami. Trudno. Zapali pan, poruczniku? — to mówiąc kelner wyciągnął z kieszeni paczkę „Maracho”.

— Nie, dziękuję.

— Proszę bardzo. Na pewno nie zatrute,

— O tym nie wątpię, ale rankiem staram się powstrzymywać od palenia. Tym bardziej że czeka mnie jeszcze ciężki dzień pracy.

— Nas także — dorzucił kierownik bufetu.

— Trudno! — melancholijnie stwierdził Daleczny, chowając paczkę papierosów do kieszeni. — Wpadłem, więc trzeba się pocieszyć chociaż tymi „Maracho” i rozejrzeć za jakąś nową pracą.

— O czym pan mówi?

— Jasne, że o tych kartonach „Maracho”, które dawałem Kryśce. Kierownik przecież złoży raport i już jestem wolny.

— Pewnie, że złożę. Ani myślę umoczyć własnej... ręki.

— Od razu więc wyłożę kawę na ławę. Papierosy wziąłem od szatniarza z hotelu „Sofia”. Po starej przyjaźni odpalił mi te kartony.

— Po ile pan płacił?

— Normalnie. Po cenie. Tylko Krystynie blagowałem, że mu daję o dwa złote więcej. Szatniarze w hotelach i restauracjach nigdy nie żądają więcej niż oficjalna cena. Za duże ryzyko. Można stracić szatnię, a przecież inni na to tylko czekają. Szatniarz i tak dostaje od gości napiwki i za podanie palta, i za te papierosy. Ale to są dobrowolne datki. Jak mu ktoś za szatnię da jedynie złociska, on nawet nie śmie się skrzywić. Szatnia to złoty interes. Żeby mi się gdzieś trafiła, zaraz bym rzucił „Wars”. Zresztą i tak mnie wyleją.

— Prokurator też się może wtrącić. Kelner nie przejął się tą groźbą.

— Miałem sześć złotych od paczki. Kryścia cztery. Ani pan porucznik, ani prokurator mi nie dowiedzie, że sprzedawaliśmy „Maracho” więcej niż jeden raz.

— Wracajmy jednak do zatrutych papierosów — zauważył podporucznik.

— Tu nie ma do czego wracać — Wacław Daleczny starał się pomniejszyć swoją rolę. — Kupiłem papierosy. Fajencka je sprzedawała. Skąd ja mogę wiedzieć, kto zrobił ten numer z narkotykami? Na pewno nie ja.

— To znaczy Fajencka?

— Za głupia na to. — Daleczny nie krępował się obecnością kelnerki.

— Głupia mogła podrzucić papierosy z narkotykiem, a mądry nią kierował.

— Ten mądry, to niby ja? — roześmiał się kelner. — Nic z tego.

— Przecież pan wchodził do przedziału, kiedy wszyscy już spali.

— Nie wchodziłem, a tylko otworzyłem drzwi i widząc, że śpią, a szklanek tam nie ma. po cichu zamknąłem drzwi.

— Kolejowym kluczem?

— Panie poruczniku, wszyscy w „Warsie” je mają. A poza tym te drzwi można otworzyć dwoma kawałkami żelaza czy choćby drewniankami.

— Kiedy pan zajrzał do przedziału?

— To było zaraz za Kutnem. Brakowało mi szklanek i sprawdzałem, który gość nie oddał. Przecież odpowiadam za szkło.

— A potem?

— Wróciłem do bufetu, trochę pomagałem Andrzejowi Pakulskiemu, rozliczyłem się i poszedłem ki- mać do przedziału.

— Była tam Krystyna Fajencka?

— Przyszła jakieś pół godzinki po mnie.

— Też spała?

— Nie. Przeglądała jakiś żurnal mody. Chyba coś z niego przerysowywała.

— Później wychodziła?

— Może wychodziła, nie wiem, ja spałem.

— Chodzicie w białych fartuchach. Czy spał pan także w nim?

— Nie. Zdjąłem, żeby nie gniesć i nie brudzić. Za często ich nam nie zmieniają.

— A Fajencka?

— Tak tamo zdjęła. Byliśmy przecież już po pracy, bo w nocy nie roznosimy napojów. Dopiero rano. Przerwa jakieś cztery, pięć godzin. Mniej więcej od Konina do Stargardu. Tylko Pakulski cały czas musi siedzieć w bufecie, ale tam także zwykle nie ma w nocy ruchu. Chyba że jacyś pijaczkowie trąbią piwko przez całą drogę i uczą się chóralnie śpiewać „Góralu, czy ci nie żal”. Ale dzisiaj było spokojnie. Jak rzadko. A teraz nie roznosimy, bo nasz magazyn już pusty.

— Długo pan pracuje w „Warsie”?

— Będzie ze cztery miesiące.

— A przedtem?

— Pracowałem w sześćdziesiątym siódmym w wagonach restauracyjnych. Obecnie już nie kursują, bo wszystkie rozleciały się ze starości, a nowych nie przybywa. Zaś w siedemdziesiątym piątym na „Centralnym” w restauracji.

— A gdzie pan jeszcze pracował?

— W „Kameralnej” półtora roku. Wcześniej w „Polonii”, ale to już dawno. Potem w „Forum”, jak tylko ten hotel Szwedziaki wybudowali. Było się i w „Kamieniołomach”, a także w „Saskiej”. Zanim tutaj wróciłem, przeszło rok gimnastykowałem się w „Staropolskiej”. Przedtem w „Gastronomii” i w „Sofii”, później w „Budapeszcie”. Czy to człowiek może spamiętać te wszystkie knajpy, gdzie się w ciągu przeszło dwudziestu lat zaczepiał?

— Był pan karany?

— Panie poruczniku, jestem uczciwy warszawiak z dziada pradziada. Ani razu nie siedziałem na ławce. Kolegia przecież się nie liczą.

— Za co?

— Takie różne drobiazgi. W czasie pracy człowiek czasem z nerw wyjdzie. Ale nigdy nic poważnego. Żadnego uszkodzenia ciała według kodeksu karnego.

— Czy ktoś widział, kiedy pan otwierał drzwi do przedziału?

— Na korytarzu była konduktorka. Gadała z jakimś czarnym z brodą.

— Czy butelki stały wtedy na stole?

— W tym przedziale stały na stoliku. Widocznie Krystyna jeszcze nie zabrała ich. A w innych to nie pamiętam.

— No cóż, chyba na razie skończymy naszą rozmowę. Zarówno pan, jak i reszta was, zgłosicie się do kolejowego komisariatu MO na dworcu w Szczecinie w celu złożenia zeznań.

— O której? — zapytał kierownik.

— Jedenasta wam odpowiada?

— Może być.

— A panią Fajencką dodatkowo proszę, żeby się namyśliła i wreszcie zaczęła mówić prawdę. Niech nie utrudnia dochodzenia i głupio sobie nie szkodzi.

— Czy mogę już wyjść? — zapytał Wacław Daleczny. — Jeszcze się nie rozliczyłem i muszę doprowadzić swoją kasę do porządku.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Będę w naszym służbowym przedziale w razie czego, proszę tylko mnie zawołać.

— To nie człowiek — stwierdziła Elżbieta Grzankowska. — To puchar przechodni.

KRYSTYNA NARESZCIE MÓWI PRAWDĘ

— Panie poruczniku — Krystyna Fajencka podeszła do oficera milicji.

— Słucham panią.

— Ja nie kradłam. Ja wszystko powiem.

— Ani razu nie stwierdziłem, że pani kradła. Mówiłem tylko, że pani kłamie i w ten sposób sama się w tę aferę wplątuje. Kogo pani chce kryć?

— Nikogo. Nie zabrałam tych pieniędzy ani biżuterii. Ale kiedy pan opowiedział kierownikowi o tej kradzieży, takie mnie przerażenie ogarnęło, że zupełnie straciłam głowę. Bałam się i o te sprzedawane na lewo papierosy, i o to, że mnie posądzą o kradzież, bo przecież wchodziłam do tego przedziału, kiedy wszyscy spali. Tylko nie miałam pojęcia, że oni są nieprzytomni. Myślałam, że to zwykły sen. Stale otwieram przedziały tak po cichu, żeby podróżnych nie budzić. Także i tym razem nie orientowałam się, że tam w pierwszej klasie jest inaczej.

— Więc jak to było?

— Trochę zamarudziłam w czasie obchodu wagonów, zresztą dwa razy wracałam po uzupełnienie moich zapasów. Kiedy sprzedawałam w tym przedziale piwo i tę nieszczęsną paczkę „Maracho”, widziałam, jak blondynka przy oknie czyta najnowszą „Burdę”. Ten żurnal trudno kupić w Warszawie. Zresztą kosztuje dość drogo. Przecież mówiłam, że jestem krawcową i trochę dorabiam sobie szyciem. Bardzo chciałam obejrzeć ten numer. Ale nie śmiałam prosić, bo ta pani właśnie go czytała.

— Rozumiem.

— Więc kiedy otworzyłam przedział, żeby zebrać puste butelki, zobaczyłam, że wszyscy podróżni smacznie śpią. Także ta pani. Nachyliłam się, podniosłam butelki, bo stały na podłodze koło stolika, i uległam pokusie. Zabrałam „Burdę”, jak najciszej zamknęłam drzwi i szybko wróciłam do bufetu. Tutaj, co widział kierownik i Wacek, przeglądałam żurnal i przerysowałam kilka wykroi. To cała moja wina.

— A potem?

— Kiedy skończyłam z tymi wykrojami, pociąg już minął Poznań. Robiło się jasno. Przestraszyłam się, że ta pani może się obudzić i zrobić awanturę, że jej ukradłam „Burdę”. Różne są panie. Więc znowu poszłam do pierwszej klasy, otworzyłam drzwi przedziału i położyłam żurnal na stoliku. Ta pani na pewno niczego nie zauważyła.

— Ale spostrzegła, że nie ma bransoletki i zegarka.

— Ja ich nie wzięłam.

— Czy jeszcze coś leżało na stoliku, kiedy pani zabierała „Burdę”?

— Nie widziałam. Patrzyłam tylko na kolorowy żurnal. Chciałam jak najprędzej mieć go w naszym służbowym przedziale. Złapałam go i uciekłam. To moja jedyna kradzież. Ale przecież nie wzięłam „Burdy”, żeby ją sobie przywłaszczyć, tylko żeby przejrzeć.

— Pani była w płaszczu?

— Nie. W białym fartuchu. W płaszczu byłam, kiedy odnosiłam żurnal. Już wiedziałam od kierowni-
ca, że rano nie będziemy robili obchodu wagonów, bo nie ma co sprzedawać, więc nie nakładałam kitla,
tylko włożyłam płaszcz, bo było dość chłodno.

— Kiedy pani otworzyła przedział, żeby oddać żurnal co zastała pani w środku?

— Podróźni spali.

— W naturalnych pozycjach?

— Ta pani blondynka z głową na stoliku. Nawet bałam się, że nie będę mogła położyć: „Burdy”. Druga,
starsza, oparła się o okno wychodzące na korytarz. Wysoki blondyn aż się prawie położył na swoim sąsie-
dzie spod okna. Podróźny z naprzeciwka miał twarz zakrytą płaszczem.

— Nie spostrzegła pani że ci ludzie są nieprzytomni?

— Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Co prawda, nie przyglądałam się im specjalnie. Byłam zado-
wolona, że wszyscy śpią. Chciałam jak najprędzej położyć żurnal na swoje miejsce i wycofać się z przedzia-
łu. Przecież rozumiałam, że z tą „Burdą” nie jestem w porządku. Trzeba było prosić o pożyczanie, a nie za-
bierać samemu. Byłam szczęśliwa, kiedy udało mi się tak po cichu zamknąć drzwi, że nikt się nie obudził.
Wiadomo, na złodzieja czapka gore.

— Co więcej?

— To już wszystko. Przysięgam, że powiedziałam prawdę. Niech ja skonam, jeżeli choć jednam słów-
kiem zełgałam.

— A trzeba było tak kłamać od początku? Nie lepiej było od razu powiedzieć prawdę?

— Głupia byłam. Bałam się. Myślałam także, że nikt mnie nie widział, jak dwa razy wchodziłam do
tego przedziału. A także wstydziałam się przyznać do zabrania tej „Burdy”.

— No dobrze. Na drugi raz będzie pani miała nauczkę, że najlepiej popłaca mówienie prawdy.

— Dojeżdżamy do Szczecina — zauważyła konduktorka Elżbieta Grzankowska. — Za dziesięć minut
będziemy na Dworcu Głównym.

— Ja też już skończyłem. Więc proszę wszystkich na godzinę jedenastą do komisariatu.

Oficer milicji wyszedł z bufetu. Konduktorka szła za nim.

— Panie poruczniku — zapytała — pan myśli, — że Krysia naprawdę okradła tych podróżnych? Mo-
głabym za nią ręczyć. To porządna dziewczyna. A te papierosy „Maracho”, na pewno Wacek ją do tego na-
mówił. Z „Burdą” to przecież zupełne głupstwo.

— Nie wykluczam winy Krystyny Fajenckiej, ale uważam to za mało prawdopodobne.

— A kto to zrobił? Chyba także nie ten muzyk z brodą?

— Chyba nie — zgodził się oficer milicji, ale nie odpowiedział na pytanie konduktorki. — Muszę
szybko wracać do wagonu pierwszej klasy, żeby moim podróżnym pomóc przejść do komisariatu kolejowe-
go. Tam będziemy prowadzić dalsze dochodzenie.

— Ja także pójdę z panem — ofiarowała się Elżbieta. — Pomogę tej starszej pani. Ona ma dość cięż-
ką walizkę i zdaje się, że nie za dobrze z jej zdrowiem.

— Tak. Narkotyk najbardziej zaszkodził jej. Dobrze, że chociaż nie wypaliła całego papierosa. W przeciwnym wypadku, obawiam się, mielibyśmy z nią poważne kłopoty.

Starszy sierżant Mieczysław Legieriki, który tego ranka miał właśnie dyżur w kolejowym komisariacie MO na Dworcu Głównym w Szczecinie, bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył podporucznika Mariana Balerskiego idącego na czele szóstki podróżnych z walizkami w rękach.

JEDNO ZASADNICZE PYTANIE

Podporucznik prosił, żeby podróżni ulokowali się w jednym z dwóch pomieszczeń komisariatu. Sam zajął miejsce za stojącym tu dużym stołem. Starszy sierżant usiadł na krzeselku pod ścianą.

— Po co pan nas tu ściągnął? — złościł się Edward Strzelczyk — jesteśmy zmęczeni, głodni, bez pieniędzy— Każdy z nas chciałby najprędzej dotrzeć do miejsca przeznaczenia i odpocząć fizycznie i nerwowo po tych wszystkich „przyjemnościach” ubiegłej nocy.

— Doskonale państwa rozumiem — zapewnił oficer milicji — ale pewne formalności są konieczne. Poza tym, chciałbym zatrzymać przestępcę, a państwu zwrócić skradzione rzeczy.

— Pan w to wierzy? — prezes uśmiechnął się sarkastycznie.

— Nie tylko wierzę, ale jestem tego zupełnie pewien.

— Pan wie, kto nas okradł? — zapytał Jan Ceglewicz.

— Tego jeszcze nie wiem, ale wiem, gdzie go szukać. A to przede wszystkim dzięki waszym obszernym zeznaniom. Naprawdę nie zmarnowaliśmy wtedy czasu, chociaż niektórzy uważali, że jestem sadystą i znęcam się nad wami.

— Kto jest złodziejem? — zapytała emerytka.

— Zanim będę mógł odpowiedzieć na to pytanie, jeszcze pewne sprawy musimy wyjaśnić,

— Jakie sprawy?

— Zeznawaliście państwo, że każde z was wypaliło po jednym papierosie „Maracho”. A tymczasem w popielniczkach znalazłem siedem niedopałków. Wykluczone, żeby jeden z nich przeleżał z poprzedniego kursu pociągu. Wagon był w Warszawie bardzo starannie wyczyszczony. Nawet podłoga pod siedzeniami była wymyta. Z paniami sprawa jest jasna. Dwa niedopałki noszą ślady damskiej szminki do ust. Jedna z tych szminek jest jasnokoralowa. Takiej używa pani Zofia Kolanko. Drugiej, ciemniejszej, pani Jadwiga Mariańska. To załatwia sprawę. Obie panie wypaliły tylko po jednym papierosie, Pozostaje pytanie, kto z panów aż dwa razy sięgał po „Maracho”.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział.

— Nikt się nie przyznaje?

I tym razem odpowiedzią było tylko milczenie,

— Sprawa jest zupełnie prosta — ciągnął dalej podporucznik. — Na moje pytanie może bezbłędnie odpowiedzieć Zakład Kryminalistyki w Warszawie. Wystarczy przesłać im do analizy te papierosy i próbki śliny pobrane od każdego z państwa. Być może, że trzeba będzie przeprowadzić takie doświadczenie. Ślina każdego człowieka różni się swoim składem chemicznym od drugiego. Tak jak nie ma dwóch ludzi o identycznych odciskach palców. Ale sądzę, że taką analiza nie będzie potrzebna. Pieniądze i kosztowności odnajdziemy bez fatygowania Warszawy.

— Gdzie więc jest moja bransoletka i zegarek? — zapytała pani Kolanko.

— Jestem prawie pewien, że w tym pokoju.

— Jak to?

— W którymś z waszych bagaży.

— Nie rozumiem — prezes Strzelczyk tylko wzruszył ramionami.

— To przecież proste — zapewnił podporucznik. — Złodziej nie mógł przyjść z zewnątrz. Skąd by wiedział, że w tym przedziale wszyscy palą i że wszyscy zapalą papierosy z zatrutej paczki? Tylko człowiek, który jechał w tym przedziale, mógł z rozmowy zorientować się, że znalazł się tam komplet palaczy i że wszyscy będą ciekawi, jak smakuje nowy gatunek papierosów. Gdyby nie to, że właśnie na rynku ukazały się „Maracho”, przestępca użyłby jakichś innych rzadkich papierosów zagranicznych. Ludzie są ciekawi. To zupełnie naturalne. Tę właśnie ciekawość wyzyskał złodziej.

— Odzyskam moje pieniądze — Jadwiga Mariańska bez zastrzeżeń wierzyła w każde słowo oficera milicji. — Jak się cieszę.

— Paczka „Maracho” rzekomo kupiona od roznosicielki z „Warsu” — wyjaśniał podporucznik — przechodziła długą drogę. Najpierw miała ją w ręku kelnerka Krystyna Fajencka. Później wziął ją pan prezes Strzelczyk, by znowu odłożyć do koszyka. Z kolei zjawił się za plecami roznosicielki muzyk z brodą. On także sięgnął po „Maracho” na pewno ku wielkiemu zadowoleniu przestępcy. Z kolei paczkę kupił Jan Ceglewicz. Na pewno, zanim sięgnął po pieniądze, schował papierosy do kieszeni marynarki,

— Tak było — ucieszył się Zygmunt Chodysz. — Teraz to sobie doskonale przypominam.

— Pani Zofia Kolanko także zainteresowała się nie znanym jej zielonym pudełkiem i przez roztarżenie schowała je do swojej torebki. Pan Chodysz, który nie chciał się z nikim dzielić trzymanymi w kieszeni „Maracho”, również odegrał małą komedyjkę i wziął papierosy do ręki.

Zygmunt Chodysz skrzywił się jak człowiek łykający szklankę rycyny.

— Tak więc paczka „Maracho” — wyjaśniał dalej oficer milicji — przeszła przez sześć rąk. Teoretycznie każda z tych osób mogła dokonać wymiany prawdziwych papierosów na zatrute. Ale tylko teoretycznie. Jak już mówiłem, wykluczyć trzeba roznosicielkę i brodatego muzyka, chociaż oni, pozornie by się wydawało, są najbardziej podejrzani. Pozostaje więc tylko czwórka podróżnych: pani Kolanko i panowie Strzelczyk, Ceglewicz i Chodysz. Ale i kandydatura pani Kolanko na przestępcę musi odpaść, bo ona wypaliła tylko jednego papierosa. O tym dobitnie świadczy niedopałek ze śladami jej szminki. Tak więc na placu boju pozostaje tylko trzech panów. Jeden z nich jest złodziejem.

— Brednie — mruknął prezes Strzelczyk.

— Jak dla kogo — uśmiechnął się Marian Balerski — z tych trzech przeze mnie wymienionych panów przestępcą jest ten, który wypalił nie jednego, a dwa papierosy „Maracho”. Naturalnie przestępca długo przygotowywał się do tego skoku. Na pewno wielokrotnie podróżował na tej linii pomiędzy Warszawą a Szczecinem.

SIEDEM PAPIEROSÓW „MARACHO”

— Dlaczego? — zapytała Mariańska.

— Po prostu dlatego, żeby wyszukać komplet pasażerów i żeby to przestępstwo opłacało się finansowo. Musiało się w przedziale kolejowym zebrać towarzystwo, gdzie wszyscy palą i gdzie można było przypuszczać, że portfele tych ludzi są warte zachodów złodzieja. Przecież gdyby wśród was znalazła się choć jedna osoba, która by oświadczyła, że nie pali, cały misterny plan przestępcy od razu by upadł. A zatruta narkotykiem paczka pozostałaby w jego kieszeni. Muszę także przyznać, że niefrasobliwość pani Zofii Kolancko, która obwiesiła się cenną biżuterią, na pewno wpłynęła na decyzję złodzieja, żeby przystąpić do akcji.

— Co ja zrobię, kiedy lubię nosić biżuterię — nadeła się pani Zofia.

— Tak więc złodziej postanowił urzeczywistnić; swój plan. Zręcznie zamienił prawdziwe papierosy na zatrute. Wszyscy zapalili. On naturalnie także. Tylko że wszyscy palili „Maracho” z narkotykiem, a on zwykłego, nie zatrutego papierosa.

— Przecież wszyscy usnęli — stwierdziła Jadwiga Mariańska.

— Nieprawda. Usnęło tylko pięcioro z was. Ten, co palił zwykle „Maracho”, jedynie udawał. A kiedy już stwierdził, że reszta podróżnych zapadła w sen, złodziej przystąpił do akcji. Delikatnie zdjął pani Kolancko bransoletkę; złoty zegarek, a następnie zabrał jej pieniądze, które miała w torebce. W ten sam sposób postąpił z resztą pasażerów. Na koniec zaś, także do tych łupów dołączył i gotówkę, którą miał przy sobie. Tak zdobyte skarby albo schował w swoich bagażach, albo, tego nie mogłem stwierdzić, ukrył gdzieś w zakamarkach wagonu. A kiedy już tego wszystkiego dokonał, znowu sięgnął po „Maracho”. Tym razem zapalił papierosa z narkotykiem. A dwa pudełka „Maracho”, te z dobrymi i te z zatrutymi papierosami, albo wyrzucił przez okno, albo dołączył do skradzionych łupów — Ale nie ma przestępstw doskonałych. Przestępca zawsze popełnia błąd albo zostawia ślad. Tak było a tym razem.

— Jaki ślad?

— Zapomniał o niedopałkach. O tym, że jest ich siedem. Państwa jest sześcioro i nikt z was nie widział, żeby ktoś inny wypalił aż dwa papierosy. To jest ten dowód, który wyraźnie stwierdza, że złodziejem

jest osoba, która jechała w tym przedziale i tylko udawała, że także została okradziona. To zresztą nie jest wynalazek naszego złodzieja. Już przed wielu laty zdarzył się bardzo podobny wypadek. W pewnym wagonie pocztowym znaleziono trzech nieprzytomnych ludzi i cztery butelki z resztkami piwa. Trzy z tych butelek były, jak to stwierdziła analiza, zatrute, czwarta zawierała normalne piwo. Tam także przestępca uspił swoich kolegów, okradł wagon pocztowy z przesyłek pieniężnych, ukrył te pieniądze i potem wypił zatrute piwo.

— Skąd pan może wiedzieć, że jeden z tych siedmiu papierosów, których niedopałki trzyma pan w koperce, nie jest zatruty narkotykiem? — Jadwiga Mariańska nie ustawała w swojej dociekliwości — przecież nie dokonywał pan żadnej analizy tych „Maracho”.

— To wynika z logicznego rozumowania. Gdyby wszystkie papierosy były zatrute, wypalono by tylko sześć. Wszyscy od razu zasnęliby i nie byłoby nikogo, kto miałby siłę okraść pozostałych pasażerów. Gdyby zaś przypadkiem nie złodziej, a ktoś inny wypalił nie zatrute „Maracho”, sam by nie zasnął, ale od razu zauważyłby, że z resztą współpasażerów dzieje się coś niedobrego. Nie sięgałby więc po następnego papierosa, tylko podniósłby alarm. Natomiast złodziej doskonale wiedział, że reszta podróżnych musi zasnąć, a on pozostanie przytomny. Po okradzeniu was, żeby upozorować swoją niewinność, przestępca zapala papierosa z narkotykiem. To chyba jasne. Analiza tych niedopałków może jedynie potwierdzić moje rozumowanie.

— Pan porucznik mówił, że przestępca schował nasze pieniądze do swoich bagaży albo je wyniósł i schował gdzieś w wagonie.

— Tak mogło być. Państwo spali, a przestępca ze swoją zdobyczą mógł niepostrzeżenie wyjść z przedziału i poszukać skrytki w jakimś zakamarku wagonu. Tak czy inaczej te pieniądze zawsze znajdziemy.

— W jaki sposób?

— Przeprowadzimy przeszukanie waszych bagaży, a jeśli to nie da rezultatów, obejrzymy cały wagon, w którym jechaliście.

— Przecież złodziej mógł schować ten łup w innym wagonie.

— Nie mógł. W pozostałych wagonach drugiej klasy ludzie stali na korytarzu. W ich obecności nie udałoby się schować nawet szpilki. Zresztą jestem prawie absolutnie pewien, że te pieniądze są w tym pokoju.

— Moje rzeczy także będą przeszukane? — zapytała Mariańska.

— Chociaż wszystko wskazuje, że obie panie wypaliły tylko po jednym papierosie, dla wszelkiej pewności przejrzymy także i pani walizkę.

— Proszę bardzo. Może pan porucznik nawet od niej zacząć tę rewizję.

— Czy macie nakaz prokuratora? — zapytał prezes Strzelczyk. — Bez nakazu nie wolno dokonywać przeszukania.

— Jesteśmy w „pościgu za przestępcą”. W tym wypadku możemy działać bez nakazu, ale każde z państwa dostanie później zatwierdzenie przeszukania wydane zgodnie z prawem przez prokuratora. To musi pana zadowolić.

— Nie mam w swoich bagażach cudzych rzeczy i nie jestem złodziejem — oświadczył prezes. — Chodzi mi tylko o zachowanie przez milicję praworządności. Jako obywatel PRL mam prawo domagać się tego.

— Rysiu — zdecydowała Zofia Kolankowa — otwieraj nasze walizki. Niech się to wszystko już jak najprędzej skończy. — Podporucznik lekko się uśmiechnął.

— Mam inną koncepcję przeprowadzenia przeszukania. Może zaczniemy od pana Jana Ceglewicza? Jego bagaż jest najmniejszy. Poza tym, on często jeździ do Szczecina.

— Przecież wszyscy widzieli, co mam w tej walizeczce. Innych bagaży nie posiadam — młody człowiek był bardzo zdziwiony żądaniem oficera milicji.

— Toteż tym razem — spokojnie wyjaśniał podporucznik — chciałbym obejrzeć nie jej zawartość, ale samą walizeczkę. Jest taka ładna, czarna. Prawie nowa i chyba robiona na zamówienie? Pan będzie uprzejmy podać mi ją.

Zaopatrzeniowiec, chcąc nie chcąc, położył walizeczkę na stole przed oficerem milicji.

Marian Balerski otworzył czarne płaskie pudełeczko i delikatnie wyjmował: ręcznik, mydelniczkę, przyrządy do golenia, jakieś notatki, książkę i zawinięte w serwetki kanapki z wędliną. Kiedy już walizeczka była pusta, podporucznik bardzo dokładnie badał jej ścianki.

— Coś mi się tu nie zgadza — powiedział — ta ścianka, do której przymocowane są niklowane saneczki, jest dziwnie gruba. To trzeba dokładnie zbadać.

Oficer milicji obmacywał każdy centymetr jej wnętrza. Nic jednak nie mógł dostrzec. Zamknął więc walizeczkę i jeszcze dokładniej badał jej czarną zewnętrzną powierzchnię.

— Tu jest mała szparka — stwierdził. — Sierzancie, macie scyzoryk albo cieniutki śrubokręt?

— Proszę mój — Ryszard Kolanko podał swój wieloczynnościowy scyzoryk.

Marian Balerski wyszukał najcieńsze ostrze i delikatnie wsunął je w ledwie widoczną szparkę.

Nic się jednak nie stało. Oficer milicji powtórzył swoje działanie. Tym razem już bardziej energicznie, następnie poruszył parę razy scyzorykiem. Rozległ się cichy trzask i kawałek ścianki walizeczki odskoczył na bok, ukazując dość wąską, ale długą skrytkę.

Wszyscy stali zapatrzeni w niewielki schowek, z którego podporucznik powoli wyciągał dwie paczki „Maracho”. W jednej z nich brakowało właśnie sześciu papierosów. Następnie na stole ukazały się zwitki banknotów. Sześć nierównomiernych kupek. Ta największa niewątpliwie stanowiła własność Ryszarda Kolanko. Wreszcie na stole zjawily się dwa małe, białe zawiniątka. Po rozwinięciu papierowych serwetek Marian Balerski położył na stole masywną złotą bransoletkę i zgrabny zegareczek.

— Bardzo to pan sprytnie sporządził, panie Ceglewicz. Ta walizeczka, to chyba pańska własna robota, bo o ile mi wiadomo, takich cacek nie ma w handlu. Ale mimo wszystko pan przegrał.

Jan Ceglewicz tylko spuścił głowę.